Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena zł 1.20

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

Rok X — Warszawa, dnia 9 sierpnia 1953 r. — Nr 32 (418)

WACŁAW PALIK

DELEGAT NA ŚWIATOWY FESTIWAL MŁODZIEŻY W BUKARESZCIE

Zjechali do Warszawy z całej Polski — 1200 delegatów. Jutro wyruszą do Bukaresztu. Jest pogodny wieczór.

— Powiedz mi delegatko, jak się nazywasz?

— Nazywam się *Feliksa Swoboda.*

— A z jakich stron?

— Z powiatu hrubieszowskiego.

— Znam hrubieszowskie. Ziemia omglona pyłem lessowym, który unosi wiatr a deszcz zamienia w urodzajną maź. A już na całej ziemi lubelskiej nie ma tyle sadów, co w Waszych stronach.

Delegatką więc jesteś hrubieszowskiego powiatu?

— Delegatką naszej ojczyzny, towarzyszu. Zawiozę na Festiwal Młodzieży Świata prawdę o życiu naszego kraju — socjalistycznym w swej treści.

— A jak ukażesz, narodową formę naszego życia socjalistycznego w treści?

— Będą mnie pytać, jak ty to zacząłeś towarzyszu, o mój życiorys. Opowiadać więc będę, nie tylko o sobie, o *ludziach naszej ziemi lubelskiej.* W książkach, które czytałam najlepiej zawsze mogłam zrozumieć i odczuć inny naród — i jego lud, kiedy książka pokazywała z bliska jakąś jego stronę, jak: „Zorany ugór" nad Donem, jak „Ziemię Kuźniecką", jak — „Daleko od Moskwy".

Przeczytałam powieść rumuńskiego pisarza Petru Dumitriu pt. „Droga bez kurzu". Poznałam tam tylko jedną z ziem Rumunii, Dobrudżę, leżącą na szlaku przyszłego Kanału Morze Czarne — Dunaj. A przecież, poznałam Rumunię i jej lud. Przyszli na tę pustynię dobrudzką aby budować Kanał ludzie przyzwyczajeni do nędznego życia, do pracy pod przymusem, do tego, że pogardza się nimi. Zdawałoby się że są przeżarci chorobą rezygnacji, braku odwagi i inicjatywy. Tak pisał autor i pokazał, że kierownictwo błądziło na początku jak ślepcy, póki nie zobaczyli „ile to trafnych pomysłów wychodzi od tych chłopów-robotników". Jakże mi się stała bliską Rumunia i jej lud. Rozumiem go i młodzież rumuńska łatwo mnie zrozumie i pokocha.

Zacznę opowieść, kiedy mnie będą pytać, od mego ojca, który był fornalem a przez kilka lat bandosem — łazęgą od folwarku do folwarku. Wtedy byłam małym dzieckiem. Tę poniewierkę sobie i rodzinie zgotował ojciec prawie świadomie. A było to tak. Obszarnik Wiernik zalegał za rok z wypłatami. Ojciec dopominał się najostrzej. Wreszcie w październiku 1937 roku obszarnik przywołał ojca i wypłacił mu, żądając aby milczał. Nie wiedział, że ojciec podprowadził fornali pod dwór i ledwie wyszedł, już z ganku zakrzyknął: „Idźcie po pieniądze, dziedzic wypłaca. Przed chwilą mnie wypłacił".

Tłum wtargnął do kancelarii wściekły i straszny w uporze, dziedzic musiał wypłacić, ale ojca wyrzucił, rozpisawszy listy do okolicznych ziemian. Ojciec wziął mnie na rękę i poszliśmy na tułaczkę.

Ja ten przykład przytoczyłam nie dla obrazu poniewierania ludu biednego. O tym aż nadto dobrze wiemy, w pierś mego ojca ugodziła kula wroga, kiedy dzielił ziemię z Reformy, ja do 1948 roku byłam analfabetką. Ten przykład mówi o walce biedoty. A walka o *człowieczeństwie* poniewieranych ludzi. Zwróćcie uwagę na humor i dowcip, jaki zawiera się w okrzyku mego ojca na ganku dziedzica. W ilu nocach wymarzył on taką scenę. Jak ją przemyślał, aby nie łaskawy ochłap wziąść od dziedzica, ale zwycięstwo fornali ogłosić i wezwanie do szturmu, który zjednoczy tę masę i uświadomi siłę zdeterminowanej biedocie. A wiedział ojciec, co go czeka, wiedział, że maleńkiemu dziecku los cyganiątka szykuje. Nie zawahał się. Nie z gorączki, nie z nerwów ten okrzyk, z przemyślenia, z długo tłumionej nienawiści i chęci walki. Mądrze obmyślony i celny cios, w którym tyle wyobraźni, tyle dowcipu. Po tym szelmowskim humorze poznacie biedotę lubelską, poznacie lud wiejski lubelskiej ziemi. Ten humor triumfuje zawsze w walce, jest jak gdyby manifestem jej zwycięstw.

Był pod Bełżcem dobry gospodarz Rogala. Wokół powstawały spółdzielnie produkcyjne, w Kniaziach, Brzezinach, Rudkach, Chlewicach a on nie i nie. Sam nie wiedząc stał się najlepszą tubą kułaków. Aż wreszcie przekonał się i wszedł do zespołu ale mu tego było mało. Przyłapują go kułacy w Bełżcu i pytają: jakże mu się teraz wiedzie.

— Wiecie, że żałuję...

— A mówiliśmy, nie trzeba się spieszyć...

— Powolusku, powolusku, jeszcze wam nie odpowiedziałem, czego żałuję. Żałuję tego, że wcześniej nie poszedłem do spółdzielni. Zapamiętajcie to sobie!

Macie ten sam humor, który wzbiera w naszym ludzie i błyska dla wrogów, jak grom.

Z włodawskiego powiatu pochodził Makówka, carski sołdat, który przeszedł Rewolucję, był w Komsomole i kropił białogwardzistów. Wrócił pod Kodeniec i zaczął pracę agitacyjną wśród chłopów. Wlepiono mu 5 lat więzienia. Wrócił i znów organizował ogniwa Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. W 1931 padł od kuli granatowego policjanta. Ale kiedy zawiązywała się w Kodeńcu spółdzielnia produkcyjna nazwali ją chłopi imieniem Makówki. Macie tu tę lubelską zawziętą pamięć, która nie zapomni wziąć zwycięskiego odwetu.

W tomaszowskim, w spółdzielni w Łazowej jest chłop Danieluk. On sam mawia o sobie. — Wyciskali z człowieka siódme poty, tak, że choć byłem na służbie dwadzieścia trzy lata, wyrobiłem za czterdzieści. Ciemny, zahukany chłopina. Ale i w nim nie zgasła iskra wiary w możliwą dla człowieka radość i godność. Uciekł ze służby, przyszedł do spółdzielni. Zapragnął on, samotny parobek, ludzkiego życia — rodziny. Był to trudny czas początków spółdzielni w zimie 1949 roku. Swaty pojechały pod las do samotnej chałupy, gdzie mieszkały dwie siostry — wdowy. Szyby pokrywał gruby szron. A w dwa lata potem Danieluk gdzie się nie pojawił, przechwalał się, że jego żona lepiej ubrana, niż jego dawna gospodyni w Dąbrówce.

*

Jestem córką nie tylko mojego ojca. Jestem nieodrodną córką tych wszystkich twardych chłopów lubelskich, nieufnych i zamkniętych ale marzących po cichu aż do zawrotu wyobraźni.

Słyszeliście o Świeciechowie? — Leży nad Wisłą. Pisała o nim piękny reportaż Krystyna Pałys, pisała, że Świeciechów to temat dla wielkiej powieści. A wiecie dlaczego? Dlatego, że tam przez wieki Wisła zalewała brzeg, rwała ziemię i głodziła. Czy chłopi poddali się „woli bożej"? Nie, uczyli się rozumieć, że to z mocy ludzkiej i że powodzie to klęska, którą utrzymują rządy ucisku i wyzysku mas ludowych. Kiedy Polska Ludowa stworzyła nowe życie i dała nadzieję na jeszcze lepsze — stare marzenie wylazło z za pieców. Świeciechów wydał bitwę Wiśle. Ile w tej odwadze było wiary w siebie i w chłopstwo pracujące całego powiatu, bo cały powiat Kraśnik zagitowali. I co powiecie, pierwsze furmanki nadjechały z Batorza i Chrzanowa, z drugiego krańca powiatu. W jednorocznym rzucie wybudowano wał na blisko 4 km, co pochłonęło trzydzieści tysięcy m^3 ziemi. Było to w 1950 roku. W następnym prawie że ukończono robotę a przecież państwo przewidywało budowę do r. 1956. Chłopi zwieźli pięćdziesiąt sześć tysięcy m^3 ziemi, to znaczy tyle, co by zajął pociąg z Warszawy do Poznania. Pracowało tutaj sześćset dwadzieścia tysięcy furmanek chłopskich, jakby je ustawić w szeregu, zajęłyby sznurem drogę od Krakowa do Gdyni.

Słyszeliście o powiecie włodawskim? Łąkowy to kraj, ale w zalewach. W czas sianokosów mężczyźni grzęźli tam po kolana w błocie a trawę wynosili na drągach. Na setkach hektarów rozciągały się między lasami mokre torfowiska i turzyca. „Smutna ziemia", „włodawskie Polesie" — mówiono. Ludzie w nędzy i zacofaniu.

Przed trzema laty wyszedł do nich rząd ludowy z inicjatywą melioracji, którąby wielki obszar nad Zielawą zamieniła w bazę paszową, dostarczającą blisko miliona kwintali siana szlachetnych gatunków traw.

— Iii... dużo to pomoże. Tutaj woda stoi setki lat. Sołtys w Paszonkach ma plan, jeszcze jak był Napoleon i takie same na niej w r. 1812 oznaczał geometra bagna — mówili na początku włodawscy chłopi.

Ale inżynier Kwapiszewski, konstruktor pługa do „kreciego" drenowania łąk, wyszedł z Lublina z szeroką agitacją, pewien zwycięstwa. A na czym tę pewność opierał? Jeśli chłopi pamiętają chybioną próbę z napoleońskich jeszcze czasów, to znaczy, że ten cierń do żywego ich kłuje i pod zalewem niewiary będzie w co trafić i jak ten torf u spodu rozpalić wielkim płomieniem. I co powiecie? Trzydzieści gromad, w tym dwanaście spółdzielni produkcyjnych, zgłosiło około siedmiu tysięcy dniówek roboczych przy melioracji. Chłopów włodawskich porwał wielki plan — dwóch jezior — zbiorników, setek śluz i kanału od Zielawy do Wieprza.

Za Puławami przez 50 lat budowali obszarnicy Kleniewscy fabrykę-cukrownię „Zagłoba". Chłopi patrzyli na nią z nienawiścią z bojaźnią, uosabiała bowiem bardziej złowrogi i lepiej zorganizowany od folwarcznego wyzysk. Okupant wywiózł maszyny. Trawa zarastać poczęła ruiny. Gospodarka mikołajczykowskich samopomocowców marnotrawiła „Zagłobę" do reszty.

Ale kiedy chłopom przygadano — czwarty już rok kiśnie ta ziemia i marnuje się fabryka, jak kiedyś u jaśnie pana Kleniewskiego, szarpnęli się lubelskim honorem, choć to była ruina. Inwestycje jakie dało państwo, rosły w ciągu trzech lat od 5 mil. zł w pierwszym roku do 28 mil. w trzecim. Ale dlaczego tu wtoczyły się inwestycje jak potok? Bo chłopi zmierzyli siły na zamiary. Kowal ze ślusarzem odkręcili zagwożdżoną korbę tłoku. Tłok ruszył — *Rusza!* Ten okrzyk poderwał całą okolicę. Było z kim pracować i komu powierzyć inwestycję. Bo walczą tu chłopi od czterech lat, aby najbogatsze w kraju zaplecze — dolina nadwiślańskich sadów — zamieniła się w jedną z nie lichych stanowisk na wielkim placu budowy, jakim w Planie 6-letnim stał się nasz kraj.

Bodaczów był w kluczu majątków Zamoyskich wyspą największej nędzy. Chłopi tutaj uprawiając siemię oleju i len nie wiedzieli, że polski przemysł tłuszczowy był całkowicie uzależniony od dostaw koncernu zagranicznego. Że więc ich uprawom groził wyzysk kolonialny albo katastrofalny brak zbytu.

Ale dziś kiedy buduje się wielką Olejarnię w Bodaczewie wiedzą już nawet co to znaczy słowo „ekstrakcja", która w kombinacie pozwoli z nasion wydobyć o wiele więcej procent tłuszczu a makuchami obdzieli całe województwo. W fabryczce-olejarni przed wojną dyrektor miał 14 pokoi i cugowe konie, a ten co buduje dziś kombinat, sam sobie wodę nosi — nasz człowiek!

Kiedy w Rejowcu zaczęła się budowa cementowni chłopak Wysocki z Marynina sporządził sobie specjal-

(Dokończenie na str. 6)



RYSZARD LISKOWACKI

NA FESTIWAL W BUKARESZCIE

Ja mój bracie pojechać nie mogę —
Przecież jechać nie mogą wszyscy...
Więc mój wiersz, moje serce weź w drogę
I mój uśmiech i zawieź go bliskim

Ja cię widzę Bukareszcie piękny —
Przez ulice słońcem nabrzmiałe
Vietnamczycy idą nieulękli
Niosąc wolność i przyjaźń i chwałę —

Ja cię widzę... na placach nadziei
Koreańczyk wiersz dumny wygłasza —
— Płynie śpiew bohaterskiej Korei
Śpiew serdeczny jak wola nasza.

Świat jutrzejszy narasta w trudzie
Ale mięśnie do czynu się prężą...
Są na świecie wspaniali ludzie
Ludzie piękni i oni zwyciężą —

Nie nastraszą nas tragedią ogni
Salwą śmierci, czarną ruiną —
Są na świecie brudni i podli
Ale podłość i brud musi zginąć!

Na trybunie, gdzie wiatr wyrywa
Słowa ciepłe z młodego gardła,
Młody murzyn pieśń jutra śpiewa —
...Pieśń jest jasna i piękna i twarda

Ja pojechać bracie nie mogę,
Więc pozdrawiam Cię wierszem najprostszym,
A Ty — uśmiech przywieziesz mi z drogi —
Z takich dróg wraca się młodszym.

ALEKSY SURKOW

NA 50-lecie KPZR

Mieliśmy lata nienajgorszych przeżyć:
Wraz z nami niebywałe czyny rosną.
Nam, nowym ludziom, nowy czas odmierzył
Odmienną miarą każdą rzecz radosną.

Z przeszłości jak z ciemnicy uwięziony
Wyrwał się człowiek w nieśmiertelne dzieje.
To jego pieśń na całą ziemię dzwoni
I wyzwolone serce promienieje:

Wątpię, czy podróżnicy i odkrywcy
Tyle co my dróg kamienistych przeszli.
Odnalazł taki kraj nasz wzrok zdobywczy,
O którym nawet Kolumb nigdy nie śnił.

Wszystko jest dla nas i młode i nowe.
Tego na świecie dotychczas nie było.
O każdej chwili trzeba twórczym słowem
Dać imię temu, co powstaje z siłą.

Jakie to szczęście żyć na wolnej ziemi,
Budować nowe i burzyć zmurszałe!
Nie jest ci obca żadna z ludzkich przemian:
Wszystko, co widzisz, w walce osiągałeś.

W histroii mamy ten zaszczytny udział
Przez nas, odkrywców dróg, zdobyty mocno,
Żeby z przyszłości wziąć i podać ludziom
O komunizmie pierwszą wieść radosną.

Przełożył Grzegorz Timofiejew



Pamiętaj!

Światowy Obóz Pokoju zagasił na Korei płomień wojny. Chłop koreański od kilkunastu dni przeoruje swe zagony pod siew jesienny — w spokoju. Nie napada już nań pirat amerykański i nie morduje z powietrza utrudzonego oracza.

Cała ludzkość raduje się tym doniosłym wydarzeniem. Radujesz się nim i Ty, Chłopie polski; niedawno bowiem doświadczałeś podobnych zbrodni na sobie.

Kiedy ziemię polską pustoszył faszyzm hitlerowski, żyłeś, Chłopie, nadzieją na wywalczenie ZWYCIĘSTWA I POKOJU. Gdy Koreę wyniszczał faszyzm amerykański, jej lud znosił bezprzykładne cierpienia — z wiarą W SIŁY POKOJU.

Zapamiętaj to, Chłopie! Zwycięskie bowiem bitwy, staczane przez Koreańczyków na ich ziemi ojczystej, zagrodziły drogę pochodowi wojny przez cały kontynent. Żołnierz koreański gromiąc imperialistę amerykańskiego, walczył o losy całej ludzkości.

Toteż dziś wszystkie wolne kraje, a wśród nich i Polska, spieszą Korei z pomocą w odbudowie.

Czym będzie ta pomoc dla zniszczonej Korei, powiedzą Ci o tym, Chłopie polski, mroźne dni stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Odtwórz je w pamięci! Wspomnij — ruiny Warszawy i wracające w jej gruzy rzesze wygnańcze z tłumami głodnych dzieci... Wspomnij znękane chłopstwo, wracające do spalonych wsi. I wspomnij pędzące ku Pradze długie transporty z mąką, agregatami do elektrowni, urządzeniami do wodociągów, maszynami do odgruzowania miasta, instalacjami do hal fabrycznych... Szły one z Kraju, który wywalczył nam wolność. Szły, jako dar przyjaźni i pomocy. Aby powstała na nowo zagospodarowana Polska, aby wyrosły na naszej ziemi nowe miasta i wsie.

Takie miasta i wsie wyrosną i na ziemi koreańskiej. Phenian za dziesięć lat będzie drugą na świecie wspaniałą Warszawą.

Pamiętaj, Chłopie polski, o pomocy dla Korei, o pomocy naszej Ojczyzny dla jej gospodarki, dla jej ludu, dla jej dzieci. O pomocy dla narodu, który zagrodził drogę nowemu pochodowi faszyzmu — i niezliczonymi ofiarami opłacił przyjaźń całej miłującej pokój ludzkości.

KAZIMIERZ JESION



HENRYK WANDOWSKI

JAK DOJRZEWAŁO POKOLENIE BUDOWNICZYCH KOMUNIZMU

W 1934 roku ukazała się w Związku Radzieckim powieść podówczas jeszcze mało znanego autora Borysa Gorbatowa pt. „Moje pokolenie". Książka zyskała odrazu duży rozgłos i do chwili obecnej była siedmiokrotnie wznawiana. Niedawno nakładem wydawnictwa młodzieżowego „Iskry" ukazała się po raz pierwszy w języku polskim *).

Borys Gorbatow jest pisarzem o dużym dorobku literackim. Urodzony w 1908 r. w Donbasie napisał pierwszą powieść („Komórka") mając zaledwie dwadzieścia lat. Opisuje w niej pracę młodych komsomolców przy odbudowie zniszczonych podczas wojny kopalń donieckich. W 1930 r. opublikował „Wyprawę górską", w której ukazał zdobycze, jakie ludności kaukaskiej przyniosła Rewolucja Październikowa. Szeroki jednak rozgłos uzyskał pisarz dzięki „Mojemu pokoleniu" (1934). które jest ulubioną lekturą milionowych rzesz młodzieży radzieckiej, dziesiątków tysięcy pionierów i komsomolców. Na powieść tę wielokrotnie powołuje się w swoich wypowiedziach sławna radziecka traktorzystka — Pasza Angelina; z ducha rewolucyjnego romantyzmu „Mojego pokolenia" wyrośli bohaterowie „Młodej Gwardii";

W „Moim pokoleniu" czytamy o Wielkiej Rewolucji Październikowej, ale widzianej oczami dziesięcio-, dwunasto - letnich dzieci. Losy swych młodocianych bohaterów wiąże Gorbatow z wielkimi dniami Października, z latami interwencji i wojny domowej, a następnie odbudowy kraju i budowy podstaw socjalizmu w Związku Radzieckim.

„...Przejście do budownictwa pokojowego dokonywało się w niezmiernie trudnych warunkach. Zwycięstwo w wojnie domowej nie przyszło z łatwością. Kraj był zrujnowany czteroletnią wojną imperialistyczną i trzyletnią wojną z interwentami.

Produkcja rolnictwa w roku 1920 stanowiła ogółem zaledwie około połowy produkcji przedwojennej. A przecież poziom przedwojenny był to nędzny poziom wsi rosyjskiej czasów caratu...

Jeszcze gorzej działo się w przemyśle, który znajdował się w stanie ruiny. Produkcja przemysłu wielkiego w roku 1920 zmniejszyła się niemal siedmiokrotnie w porównaniu z produkcją przedwojenną"**).

Te trudne lata były ciężką szkołą życia, hartu i komunistycznej świadomości dla młodziutkich bohaterów „Mojego pokolenia".

Alosza musiał sam pracować na utrzymanie, gdyż ojciec przedwcześnie zniedołężniał. Pracował ciężko jako goniec, a jednocześnie uczył się w wieczorowej szkole. Tu spotkał się poraz pierwszy z Komsomołem. Dwunastoletni Pawlik, który stracił rodziców w czasie Rewolucji, wyjechał do innego miasta i tam, w hucie, znalazł zatrudnienie jako uczeń. I on spotkał się tu z działalnością Komsomołu.

Ale niełatwa była droga do Komsomołu, nawet tych najmłodszych bohaterów, którzy wiedzieli po czyjej stronie jest słuszność. Oto Alosza — przez cały okres Rewolucji walczył razem z kolegami przeciw mieszczańskim maminsynkom, razem z kolegami uczył się nienawiści do burżuazyjnego ustroju, ale gdy potem rozjechali się, każdy do innego zakątka, gdy w szkole dostał się w nieznane sobie otoczenie, łatwo uległ chytrze zamaskowanemu wrogowi, synowi kozackiego oficera — Kowalewowi. Dopiero, gdy zżywał się w codziennej nauce z całym zespołem, powoli spostrzegał, jak w gruncie rzeczy Kowalew bardzo odcina się od tego zespołu, aż wreszcie sam potrafił go atakować i demaskować. Znalazł w tej walce z zaczajonym wrogiem właściwego sprzymierzeńca — organizację komsomolską i wkrótce stał się jednym z jej najżarliwszych członków.



Jego młoda koleżanka, Julia, przeszła jeszcze cięższą próbę wytrwania. Gdy dziewczynka wstąpiła do Komsomołu — matka wypędziła ją z domu, stawiając jako warunek powrotu — odżegnanie się od Komsomołu. Dziewczyna nie załamała się, chociaż kochała swoich najbliższych, ale miłość tę przewyższało jeszcze inne pragnienie — służenia z całego serca, z całych swoich młodych sił swojemu narodowi. A przecież Julka była jeszcze dzieckiem, głęboko przywiązanym do rodzeństwa i tęsknota za domem ciążyła jej bardzo. W trudnościach, jakie pokonują bohaterowie „Mojego pokolenia" na drodze do Komsomołu, autor ukazuje siłę i prężność rosnącej organizacji — organizacji przyszłych budowniczych komunizmu.

Jednakże w swojej powieści Gorbatow daje nie tylko takie przykłady ideowego hartu młodych komsomolców, jak Julka, ale odsłania cały obraz Komsomołu, pokazując, że w szeregach jego, i to niejednokrotnie na wyższych stanowiskach, znajdowały się również jednostki, w których wypalił się ofiarny żar bojowy, które schodzą na mielizny, skłaniają się ku oportunizmowi, jak np. przewodniczący miejscowego zarządu Komsomołu — Krużan. Ale umiejętność dialektycznego patrzenia na poszczególne zjawiska pozwoliła Gorbatowowi prawidłowo rozwiązać sprawę Krużana. Żył przecież w kolektywie, w zdrowym otoczeniu młodych entuzjastów, i nie mogła go nie porwać ich ideowa i moralna siła. Po długich rozważaniach ten hulaka i anarchista wraca spowrotem na dawną, bojową komsomolską drogę bezkompromisowej walki o socjalizm. Gdybyśmy chcieli indywidualne losy każdego z bohaterów tej powieści uogólnić w jednej postaci — niewątpliwie otrzymalibyśmy ten sam obraz procesu dojrzewania, który dał nam Ostrowski w postaci Pawki Korczagina.

Obie książki zrodziły się z osobistych przeżyć autorów. Ale w „Jak hartowała się stal" głównym bohaterem jest jedna postać Pawka Korczagin, Gorbatow zaś wprowadził kilku równorzędnych bohaterów.

Różnice te idą jeszcze dalej. Bohater Ostrowskiego, to żarliwy, młody komunista, którego życie wytyczają walki frontowe z kontrrewolucją i interwentami. Bohaterowie „Młodego pokolenia" ubożsi w rewolucyjny hart i rewolucyjne doświadczenia, bo młodsi — w sprawach mniejszych, na swój sposób i na swoje możliwości walczą o utwierdzenie władzy Rad; ścierają się w tej walce z najrozmaitszymi trudnościami począwszy od perfidnej postawy kontr - rewolucjonistów a skończywszy na drobnych, ale dotkliwych kłopotach dnia powszedniego.

O różnicach decyduje także specyficzna forma artystyczna książki. Jest to powieść autobiograficzna, w której jednak wymieniają się dwa typy narracji — w pierwszej i w trzeciej osobie. W ten sposób „obiektywne", epickie partie powieści przeplatane są lirycznym komentarzem wspomnień autora, które nadają przedstawianym wypadkom barwę osobistego wzruszenia. Dzięki temu wielki patos przemian młodzieży, jej bohaterstwa i poświęcenia, patos rozwoju pierwszego na świecie państwa socjalistycznego nabiera ludzkich wymiarów, zostaje ukazany dyskretnie i powściągliwie, częste są zatem w powieści takie np. momenty:

„Lubię w biegu spotkać się na skrzyżowaniu ulic z chłopakiem, którego nie widziałem od dawna, chwycić go za łokieć, odejść z nim na bok, żeby przechodnie nas nie potrącali, stanąć pod słupem ogłoszeniowym lub tramwajem:

— Jak ci się powodzi? Gdzie jesteś?, Co robisz?

— Kopię kanał. Wołgę łączę z rzeką Moskwą.

— No i co? Udaje się?

Znajomy uśmiecha się. Po czym opowiada, na czym polegają trudności jego pracy. Wyjmuje ołówek i na żółtym afiszu konserwatorium moskiewskiego rysuje schemat,

Żegnając się pytam go:

— A jak tam Wasze gospodarstwo podmiejskie? Kartofle?

Kiedy znika mi z oczu, przypominam sobie, że zapomniałem go spytać, czy się przypadkiem nie ożenił?"

Cechy młodocianych bohaterów „Mojego pokolenia" to cechy przyszłych dzielnych, bezkompromisowych i walecznych bojowników o socjalizm, zwycięzców spod Stalingradu i Berlina, bohaterskich budowniczych komunizmu. Pod tym kątem należy spojrzeć na „Moje pokolenie", gdyż stąd wypływa zasadnicze znaczenie tej powieści dla naszej młodzieży. I u nas budujemy socjalizm, i u nas potrzebna jest taka młodzież jak Walka, Julka czy Pawlik. My również walczymy z wrogiem klasowym, którego działalność bardzo często jest trudna do rozszyfrowania. Dlatego też naszą młodzież również musi cechować bojowość, bezkompromisowość a nade wszystko wyostrzona czujność.

„Moje pokolenie" uczy rozeznawać wrogów, oportunistów i przyjaciół i, nie poprzestając na tym, wskazuje, jak trudna jest częstokroć walka z wrogiem, jak bardzo trzeba zwalczać oportunizm, który w konsekwencji zawsze przekształca się w postawę wrogą. Ale to nie wszystko, co daje pod tym względem powieść Gorbatowa; pokazuje ona ponadto, że tylko w stałej, codziennej, nieustannej walce rośnie, dojrzewa i krzepnie człowiek. Człowiek godny naszej epoki. W pewnym miejscu Gorbatow pisze: „Nie wiem, co byłoby ze mną, gdybym się urodził na długo przed rewolucją. Ale my — ja, Pawlik, Walka, Alosza — rośliśmy w tym czasie, gdy we krwi i radości tworzyło się nowe życie, więc wydawało się nam, że przyszliśmy na świat, by dokonać niezwykłych czynów". Młodość ma swoje prawa. Lubi marzyć o bohaterskich czynach. Ale nie tylko to. Może być sama bohaterska, tak jak Pawlik, Walka, czy Alosza, tak jak młodzież rosyjska tamtego okresu. Tą tendencję do bohaterskich czynów, do bohaterstwa godnego naszych czasów, w wysokim stopniu budzi w czytelniku „Moje pokolenie". Ze wszech miar dobrze się więc stało, że powieść ta została udostępniona naszej młodzieży. Jest to bowiem książka, na której może się ona w codziennym swoim życiu, w codziennej pracy, na każdym kroku uczyć i wzorować.

Henryk Wandowski

*) Borys Gorbatow: „Moje pokolenie", tłum. Kazimierz Truchanowski. Posłowie Grzegorza Lasoty. Wyd. „Iskry". Warszawa, 1952 r.

**) Historia WKP(b) (krótki kurs) na str. 281,

JANINA DĄBROWSKA

Czarne wiosny młodzieży tamtych lat



„CZARNA WIOSNA"*) — jeszcze jedna książka, która przybyła do szeregu powieści współczesnych, pisanych o młodzieży i dla młodzieży — jest pozycją nową i interesującą.

Nową, bo wprowadza nas w krąg zagadnień dotychczas albo zupełnie pomijanych albo traktowanych ubocznie i marginesowo — stanowi ona ambitną próbę ukazania czytelnikowi możliwie pełnego obrazu życia młodzieży proletariackiej w okresie międzywojennego dwudziestolecia.

Głównym bohaterem książki jest Franek Rodak. Czytelnikowi znane są dokładnie jego „dane personalne": ma lat 11, chodzi do kl. I-szej gimnazjalnej, mieszka w małej prowincjonalnej mieścinie, ojciec jego, działacz komunistyczny, były uczestnik Wielkiej Rewolucji Listopadowej, siedzi w więzieniu sanacyjnym w Sieradzu, matka praczka, wespół z siostrą Kazią, służącą u aptekarza, pracują na utrzymanie Franka i jego 13-letniego brata Jurka. Tak wyglądają stosunki rodzinne, pochodzenie i warunki bytu. Co do charakteru i wrodzonych skłonności Franka autor także nie skąpi nam informacji: chłopiec jest zdolny, subtelny, uczuciowy, wrażliwy, a więc tym większy wpływ może wywierać na niego otoczenie, pod którego oddziaływaniem zaczyna się zmieniać psychika i światopogląd Franka. Franek, nie rozumiejący na początku powieści znaczenia słów „polityka" i „komunizm", nie mający żadnego własnego sądu o otaczających go ludziach i zdarzeniach — stykając się w codziennym życiu z ustawiczną biedą, słuchając częstych rozmów o ojcu — komuniście, obserwując postawę brata, pełną buntu i protestu przeciw doznawanym krzywdom, zetknąwszy się z wrogą i napastliwą postawą nauczycieli — pod wpływem obserwacji życia zaczyna szybko dojrzewać, zaczyna dostrzegać konflikty charakteryzujące rzeczywistość, próbuje dowiedzieć się czegoś o otaczającym go świecie. Autor tak konstruował los swego głównego bohatera by los ten stał się reprezentatywny dla życia całej młodzieży. Wszak w podobny sposób — oczywiście z indywidualnymi odchyleniami, nie ma bowiem dwóch ludzi i dwu losów identycznych — przebiega życie innych bohaterów: Jurka, Marcina, Sroki i wielu innych chłopców. Ale o typowości przedstawianego procesu nie decyduje intencja autora — decyduje sposób przedstawienia przez niego poszczególnych problemów. I jeśli twierdzimy, że Kłosowski na przykładzie losów Franka ukazał rzeczywiście proces typowy, to przede wszystkim dlatego, że poprzez szczegółowe obrazy z życia wybranego bohatera pisarz potrafił pokazać ogólną prawdę o życiu robotniczego dziecka w warunkach Polski sanacyjnej.

Zwróćmy uwagę na fakt na pozór drobny, ale tylko na pozór, gdyż w istocie w tym jednym drobnym wydarzeniu (wyprawa po drzewo do lasu) autor umiejętnie ukazał problem sprzeczności, jaka zaistniała między poczuciem moralności i uczciwości małego chłopca, a jego pierwszymi doświadczeniami życiowymi, które uczą go, że jest coś głęboko niemoralnego w całej, ogólnej sytuacji. Franek przeżywa w związku z tym głęboki konflikt wewnętrzny, trafnie przez autora uchwycony. Starając się postępować zgodnie z wpajanymi od dzieciństwa zasadami moralnymi, buntuje się przeciw ich łamaniu, nie rozumie w czym tkwi przyczyna tego, że musi popełniać to, co przywykł nazywać przestępstwem. Bardzo trafnie i z prawdziwą pasją demaskatorską ukazuje autor deprawujący wpływ, jaki wywiera ustrój kapitalistyczny na psychikę dziecka, zmuszając je do postępowania wbrew wyznawanym zasadom moralnym, zmuszając je do tego, by tak jak Franek męczył się poczuciem świadomego przestępstwa. Upłynie bowiem jeszcze kilka lat nim Franek zrozumie, że prawdziwym przestępcą był tu ustrój kapitalistyczny.

Następny etap zmian w psychice bohatera przypada na czasy szkolne, kiedy Franek staje się bezpośrednio ofiarą panujących stosunków. Dotychczas poniżenie i krzywdy dotykały osób najbliższych, jego tylko pośrednio. Natomiast w szkole sam staje się ofiarą profesorów, którzy w zorganizowany sposób zatruwają mu życie, szykanują i poniewierają — takie bowiem metody stosuje szkoła sanacyjna wobec dzieci robotniczych, a zwłaszcza wobec synów komunistów.

Jednym z dużych osiągnięć Kłosowskiego jest to, że potrafił wiernie, z dużą wnikliwością i znajomością tego środowiska przedstawić obraz szkoły i postacie nauczycieli i wychowawców, którzy pozostawali na usługach panującego ustroju, głosili nacjonalistyczne i imperialistyczne hasła o konieczności urządzenia zamorskiej wyprawy kolonialnej, mającej rzekomo położyć kres bezrobociu i nędzy, o konieczności stworzenia — drogą grabieżczej i zaborczej polityki — mocarstwowej Polski „od morza do morza".

Obrazy ukazujące szkołę sanacyjną należą do najbardziej udanych partii powieści, wskazują na dużą znajomość tego środowiska i tematu przez autora.

Środowisko szkolne ukazane w „Czarnej wiośnie" zmusiło Franka do zajęcia czynnej postawy wobec życia. Jest następny etap w rozwoju świadomości Franka, etap, w którym dochodzi on do wniosku, że „bez walki nie odnosi się w życiu zwycięstwa" (str. 142). Zapewne i wpływ brata Jurka i nauki starego kowala Gdulii, i przyjaźń z Marcinem, i wreszcie nowa lektura — wszystkie te czynniki w niemałej mierze przyczyniły się do tego, że Franek świadomie staje się jednym z organizatorów szkolnej manifestacji pierwszomajowej. Usunięcie go ze szkoły, wyjazd do Warszawy, zetknięcie się z masą bezrobotnych, wpływ środowiska robotniczego i jego otwartej walki z panującymi stosunkami, wreszcie — nawiązanie przez brata kontaktu z komunistami i młodzieżą komunistyczną — wszystko to sprawia, że Franek pragnie wziąć udział w walce i przy pierwszej okazji danej mu przez Jurka staje do pracy w szeregach KZM.

Zagadnienie ideowego dojrzewania młodzieży łączy się ściśle z walką klasową w mieście i na wsi. Kłosowski w kilku obrazach ukazuje formy tej walki.

Sprzeczności interesów chłopa i dworu, rozwarstwienie klasowe wsi (Poraj — biedniak i Maziarz — kułak, typowi reprezentanci dwu grup

(Dokończenie na str. 6)

*) Józef Nikodem Kłosowski: „Czarna wiosna", powieść, „Czytelnik" 1953 r.

Sygnały...

O spółdzielcze dobro

UKAZAŁA się niedawno nakładem „Czytelnika" niewielka książeczka Krystyny Świąteckiej zawierająca dwa opowiadania zbliżone bardzo do reportaży; są one poświęcone tematyce wiejskiej, sprawie powstawania i rozwoju spółdzielczości produkcyjnej.*)

Akcja obu opowiadań koncentruje się wokół założenia i umocnienia spółdzielni w Gorzkowicach i Wierzbnie, wioskach powiatu bydgoskiego. Przedstawiając kolejno szereg drobnych scen z życia wioski, autorka wskazuje na fakt, że warunkiem szybkiej przebudowy gospodarki wiejskiej jest przede wszystkim uświadomienie chłopów, ideologiczne przygotowanie ich do podjęcia najbliższych zadań, wskazanie im perspektyw rozwoju wsi, nieustanne przekonywanie chłopów o wyższości gospodarki zespołowej nad indywidualną.

Tę trudną i ważną pracę uświadamiania chłopstwa, zaznajamiania ludzi ze statutami spółdzielni produkcyjnych, dyskutowania z nimi o sposobach zwiększenia wydajności, o możliwości rozszerzenia asortymentu uprawianych gatunków i zwiększenia plonów przez umiejętną, staranną uprawę ziemi prowadzą przede wszystkim członkowie Podstawowej Organizacji Partyjnej.

Aktywiści i działacze partyjni, Stefarczyk z „Historii czereśniowej alei" i Aleksander Sekuła ze „Zwycięstwa", to ludzie, którzy z całą ofiarnością, z niewyczerpaną cierpliwością i niezmordowaną energią uczą chłopów, pomagają im „przełamać w sobie tę duszę posiadacza, ten żal, co niejednego aż za grdykę chwyta, kiedy na wyhodowaną przez siebie krowinę czy źrebaka spogląda i myśli, że trzeba rozstać się z tą swoją własnością", wyjaśniają chłopom, że „te pola i te krowy i konie, i wszystko... — to ich własne, najwłaśniejsze."

Dzięki aktywności członków Partii paraliżowane są poczynania wrogów spółdzielni. Praca organizacji partyjnej ukazana jest w opowiadaniach Świąteckiej interesująco i prawdziwie: istnieje szereg błędów płynących przede wszystkim z braku czujności, czasem z powierzchownego czy lekkomyślnego stosunku partyjniaków do spraw i własności spółdzielczej, a równocześnie pokazane jest wzmacnianie partii w ogniu walki, poprzez likwidowanie błędów, przez usuwanie wrogów z szeregów partii, przez wyostrzanie czujności członków na działalność wroga, przez analizę i krytykę złych posunięć i wyciąganie z nich wniosków na przyszłość.

Z nieubłaganą surowością i pasją opowiada Świątecka o metodach, jakich chwytają się kułacy w walce ze spółdzielczością. Zaczyna się zwykle od zjednywania ludzi przez podarunki, udzielanie pożyczek, zapraszanie chłopów na wódkę; „dobroć" sięga czasem tak daleko, że kułak podnosi zarobek ludziom zatrudnianym przez siebie. Plotka, oszczerstwo, kłamstwo, podszept. insynuacja, ma na celu zniechęcenie ludzi do spółdzielni, sianie nieufności i podrywanie autorytetu aktywistów i członków partii. Często ogranicza się swobodę postępowania chłopów, zwłaszcza tych, których kułak uzależnił od siebie gospodarczo przez groźbę, zastraszenie, a kiedy już wszystkie inne środki zawodzą — kułak próbuje szkodzić spółdzielni, przekupując jej członków, a potem zmuszając ich do sabotażu, do okradania, podpalania spółdzielni — słowem do wyraźnie zbrodniczej działalności.

Opowiadania Świąteckiej pełne ciekawych obserwacji „z terenu", czasem nawet zdumiewające w wykrywaniu tajemnych, powiązanych ze sobą sprężyn, działających na szkodę wsi, zwięzłe, brzmiące jak meldunek z frontu walki o spółdzielnię, zmierzają głównie do tego, aby wzmocnić czujność klasową spółdzielców, ostrzec ich i zachęcić do rzetelnej troski o dobro spółdzielni.

Demaskując metody i sposoby działalności wroga wytrącają mu broń z ręki, a tym samym stanowią celny oręż w walce z kułactwem. Przez trafne podchwycenie wielu wątpliwości i niepewności, jakie powstrzymują chłopów od wstąpienia do spółdzielni, przez rozumną argumentację i wyjaśnianie tym bardziej przekonywające, że poparte cyframi, obrazującymi zdobycze gospodarki socjalistycznej — książka może spełnić w terenie mobilizującą funkcję. Wstęp poprzedzający opowiadania obrazuje warunki bytu chłopstwa w czasach przedwojennych — rozmiary krzywdy chłopskiej ilustrują cyfry i autentyczne wypowiedzi wyjęte z „Pamiętników chłopów".

Ważnym elementem w opowiadaniach Świąteckiej jest szczery optymizm, płynący z oceny dotychczasowego dorobku na polu rozwoju spółdzielczości produkcyjnej i radosna wiara w przyszłość, zamknięta w słowach piosenki śpiewanej przy trudnej i pięknej pracy na spółdzielczych polach: „My nowe życie budujemy sami".

J. D.

*) *Krystyna Świątecka: „Historia Czereśniowej alei". Warszawa, 1953, „Czytelnik".*

Opowiadania o buntach chłopskich

„Ani grosza podatków faszystowskiemu rządowi głodu, terroru, bezrobocia i wojny" — głosiła odezwa KPP do chłopów strajkujących w latach 1932 — 1937.

W tych latach szczególnie drapieżny wyzysk kapitalistyczny idący w parze z półfeudalnym wyzyskiem obszarniczym był nie do zniesienia. Nastroje rewolucyjne wśród chłopów rozogniał silnie aktyw KPP i lewicy ruchu ludowego (NPCh).

Jan Wiktor w rok po wypadkach krwawej masakry w Kasince Małej, tak mówił na Kongresie Stronnictwa Ludowego w Krakowie o pogrzebie ofiar granatowej policji.

„Między żonami pochowanych stał chłopiec może czteroletni, nie płakał, raz tylko czapczyną otarł łzy i wyrzekł głośno: „Mamo, za co tatę zabili?". Nie upominał się za krzywdę swego sieroctwa, nie wołał zemsty za wszystko, co przeżyje w nędzy, poniżeniu, nie wypominał tego, że ojciec walczył o wolność, ale tylko pytał. Polska musi usłyszeć to pytanie i musi dać odpowiedź temu dziecku: „Za co zabili?"

Polska sanacyjna nie usłyszała i nie chciała usłyszeć tego pytania. Takie pytania zadawały setki bezpośrednio dotkniętych, osieroconych rodzin chłopskich po krwawych walkach roku 1932, 1933 i 1937.

Dopiero Polska Ludowa odpowiedziała na to pytanie. Bohaterzy walk chłopskich stali się bohaterami narodu budującego socjalizm. Miejsca krwawych walk ozdobiły pomniki i tablice pamiątkowe. Pisarze na kartach powieści utrwalają postaci płomiennych przywódców chłopskich, ukazują ich bohaterstwo i szlachetne dążenia. Jan Wiktor wrócił też do swego przemówienia z 1938 roku, by napisać o wypadkach w Kasince Małej opowieść pt.: „Przed świtaniem". Tytuł opowieści jest jednocześnie tytułem całego zbioru opowiadań pisarzy krakowskich.*)

Jan Wiktor w opowieści „Przed świtaniem" ukazał sytuację w ruchu ludowym i narastanie rewolucyjności chłopstwa pracującego w drugim etapie walk chłopskich. Ten II etap, to strajk rolny w 1937 roku, wymierzony przeciwko obszarnikom i spekulantom, którzy gnębili wieś wprowadzając zgubne dla biedoty i średniaków „nożyce cen".

Głównym bohaterem „Przed świtaniem" jest Bandura, KPP-owiec. W swej strukturze psychicznej Bandura ma wiele z patosu walki i wielkich zamiarów, kreśli plany społeczeństwa opartego na sprawiedliwości społecznej, ale wykazuje brak sprecyzowanego programu walki i konkretnych metod działania. Ten patos, marzycielstwo i zapał przypominają Franka Rakoczego. Bandura jest szermierzem chłopskiej sprawy, agitatorem płomiennym i nieugiętym ściganym przez prawo i policję. Dlatego porywa czytelnika, chociaż w jego postępowaniu i rozmyślaniach jest wiele niepotrzebnej stylizacji i koturnowości. Rozmowy z prezesem Widziszem, spotkania z chłopami z Kasinki, wreszcie walka z policjantem Zawadą charakteryzują jego rolę w ruchu. Jego agitatorstwo „na drogach tułaczki" oddaje dobrze atmosferę ludowych wieców i zebrań — burzliwych, szukających dróg do Polski sprawiedliwej, choć często błędnych.

Najlepiej kreśli Jan Wiktor sytuacje zbiorowe. Jasne i proste ujęcie obrazu, podbudowane jest ważkim słowem, choć czasem niepotrzebnie stylizowanym. Na przykład opis dramatycznej sceny starcia z policją, gdy padają zabici, a żony i matki stają naprzekór bagnetom i nacierają na policję żądając sprawiedliwości.

Z kart opowieści poznajemy nędzę wsi na przednówku i opozycyjne, powstańcze nastroje mas chłopskich. Biedniak Jaśnica jest najlepszym ich wyrazicielem. Dostrzega on istotę zła: „Dzisiaj w tych ciężkich czasach nie chodzi uświadomionemu chłopu o zagony, o grzędy, o dostatki, o bogactwa, żeby gruntu dokupić, majętności powiększyć, ale chce zdobyć prawa polityczne, chce stać się wolnym obywatelem i budować jutro w szczęśliwej Polsce. Polsce, w której nie będzie już dyktatury faszystowskiej i kumania się z Hitlerem. Bunt wyrasta z nędzy, z niewoli".

Nie wszyscy jednak tak myślą. Większość walczy właśnie o ziemię, o lepszy byt. A część boi się walki, nawołuje do zgody. Wiktor trafnie przedstawia dezorientację i antyrewolucyjne, lojalistyczne nastroje jakie rozsiewały wśród chłopów góry stronnictwa. W chwili, gdy strajk zmobilizował całą wieś, która potrafiła zmusić spekulanta Łapiskórkę do posłuchu nie pozwalając mu przewieźć na rynek towarów NKW SL taką odezwę przesłał do strajkujących: „Terror i gwałt muszą natychmiast ustać. Nie wolno nikogo przemocą zatrzymywać w drodze do miast. Nie wolno niszczyć przewożonych towarów." Chłopi oburzali się na zdradziecką politykę swych dowódców. Widzisz, poczciwy, stary ludowiec nakazuje jednak posłuch dla rozkazów centralnych władz. Wkrótce pożałował tego. Minister Sławoj-Składkowski, który został bardzo trafnie i z humorem pokazany przez Wiktora, nie liczył się z ofiarami i krwią. „Policja ma strzelać!" — rozkazywał. Doborowe kadry młodych faszystów trafiły też do Kasinki, aby położyć trupem 9 osób, wiele zranić i zabrać do więzienia. Zginął Widzisz, a przed śmiercią zrozumiał że jedyna droga do nowej Polski, to rewolucyjna walka.

„Przed świtaniem" demaskuje wszechstronnie sanacyjny aparat władzy państwowej. Przykładem tego jest proces oskarżonych chłopów, który stał się mimo kombinacji kapitalistycznego sadu procesem oskarżającym ustrój i sędziów. Nie pomogli fałszywi świadkowie terror i zastraszenie. Każdy świadek z Kasinki, opowiadając o zajściach z życiu chłopa, oskarżał, wołał o rewolucję, o zemstę.

Mimo to, że głównym bohaterem opowieści jest KPP-owiec, rola komunistów w ruchu nie została dostatecznie pokazana. Strajk jest odizolowany od ruchu robotniczego. A właśnie ten drugi etap walk, a głównie strajk w 1937 roku cechowała szeroka agitacja prowadzona przez komunistów-robotników. Są to przecież lata, kiedy KPP wobec wzrastającej faszyzacji ustroju i groźby wojny, starała się stworzyć Front Ludowy, skupiający wszystkie demokratyczne partie i organizacje. PPS i SL zdecydowanie odcięły się od KPP, ale masy członkowskie były pod silnym wpływem haseł komunistycznych. Chłopi rozumieli już lepiej niż przed paroma laty konieczność wspólnej walki razem z robotnikami przeciwko kapitalistom.

Ukazanie narastania idei sojuszu robotniczo-chłopskiego podczas buntów i strajków w pełnym artystycznym obrazie czeka na opracowanie. Taka książka dałaby nam najlepszy rodowód współczesności, rodowód podstawy Polski Ludowej — sojuszu robotniczo-chłopskiego.

Stanisław Śliwa

)* Jan Wiktor, Jan Jaźwiec, Tadeusz Papier, Maciej Słomczyński, Stanisław Zieliński „Przed świtaniem", Czytelnik 1953, str. 355, cena 14 zł.

JAN ONOPA

W „odzyskanym terenie"

12 LIPCA — 1953 R.

Zawędrowałem na żniwa w województwo białostockie. Jak mnie informowali kompetentni, zaszyłem się w najbardziej zapadły zakątek Białostoczczyzny. Bo poza Puszczą Białowieską pokażcie mi taką okolicę, jak gmina Wyszki i przyległe Haćki, Topczew, Domaszewo, Łubin Kościelny. Tu jeszcze w promieniu 74 gromad nie ma ani jednej spółdzielni produkcyjnej. Trafiłem więc w teren, gdzie reporterowi nie włażą „same gołąbki do gąbki". Rewolucji i postępu nie podają tu gotowych na talerzu. Ale czy dlatego nie ma przemian?...

Trafiłem na porę, kiedy siano zdjęto już z obu brzegów Narwi, kiedy czyszczono stodoły na nowy zbiór zboża, kiedy opukiwano kosy, a kobiety kręciły się koło komory, jak pszczoły wokół ula. Gromadzono zapasy i przysmaki na czas prac żniwnych. Odnawia się bowiem tradycja z zapomnianych czasów. Lud tu do rynków zbytu nie miał nigdy dostępu, dostatek przywykł okazywać w sutym jedzeniu. Ale przez wiele dziesiątków lat musiał nie dojadać. Że musiał, o tym świadczą wiersze Konopnickiej, która z tych stron pochodziła.

Trafiłem na porę, kiedy żyto i jęczmień w słońcu już siwiało, a chłopi patrząc z czułością na pola mówili „Chlebem i kaszą pachnie". Licha tu gleba, ale gdyby nie wiosenne mrozy zbiory byłyby wcale piękne. Mokra jesień i zimna wiosenne dokuczyły, szczególnie na wzgórkach.

Rozejrzałem się za tym, co o tej porze w sojuszu robotniczo - chłopskim szczególnie umacnia spójnię na metal. Mówiąc prościej — za maszynami. Jest ich trochę u bogatych gospodarzy. W GOM 15 żniwiarek i 11 młockarni. Ładny park i dużo mógłby zdziałać. Ale... „zapadły kąt" to nie pusta nazwa. Ma on siłę gnuśności, która wychodzi na przeciw nowemu i zmóc je próbuje.

W tych pierwszych dniach dostrzegłem to zjawisko od strony najmniej spodziewanej. Stał przede mną człowiek młody, atletycznej budowy, od niedawna po wojsku, nazywa się Edward Młodzianowski, kierownik GOM i klął na czym świat stoi, bo...

Po 1) — GOM nie ma garażu i maszyny w większości stoją od jesieni po różnych „parafiach" w stodołach chłopskich.

Po 2) — Już w zimie alarmować POM w Bielsku, aby podjąć naprawy, ale mu odpowiedzieli „chłopie, czego się palisz, na remont jeszcze czas".

Po 3) — W czerwcu, kiedy inne zespoły meldowały już o pełnej gotowości swych parków, GOM w Wyszkach otrzymał dopiero materiał do remontu maszyn.

Po 4) — Kiedy wreszcie ubłagał Komisję Gminną, aby zlustrowała w 8 parafiach maszyny, okazało się, że z 16 żniwiarek 11 trzeba reperować.

Po 5) — Znalazł się wprawdzie prywatny, miejscowy mechanik Grabowski, ale taką wyśpiewał cenę, że Cygan za matkę większej by nie wystawił.

Po 6) — Wystraszyli się wreszcie w Bielsku i nadesłali pomowskiego mechanika, ale żniwa już na piętach.

— No to nie zdążycie...

— Co takiego? Żniwa bez maszyn? Muszę zdążyć i zdążę. Wy tu jeszcze nie wiele rozumiecie. Żyły wypruję, a maszyny będą. Zapamiętajcie sobie!

17 LIPCA 1953 R.

Zamieszkałem w Misukach. Odwiedził mnie przedwczoraj Dziemianiuk prosząc o pomoc w żniwach. Chytry stary. Pierwszy poszedł po rozum do głowy. Przyjechała nas bowiem czwórka wycieczkowiczów. I na całą „brygadę" nagusów zerkał Dziemianiuk, kiedy mnie niby tylko prosił. Obiecaliśmy się wszyscy. Dziemianiuk wyprzedził innych chłopów, wyprzedził dlatego, że pierwszy przełamał opór zacofania. Nigdy tu we wsi nie widziano „golasów". Chłopi przepisowo, jak rok długi, chodzą w czapie nasuniętej na oczy, w koszuli, najczęściej lnianej, własnego przemysłu, latem na wierzch wypuszczają, a jeśli zdejmą kapotę, musi zostać kamizela i tak się gotują w czas żniw. Kobiety zakładają chustki, najczęściej białe, wiązane pod brodą, daszkiem wysunięte nad czoło. Tu już tradycja ma większy sens, rzekłbym — kosmetyczny. Nie malują się, ale chronią cerę przed opalenizną. Odbiera bowiem — jak powiadają — delikatność. Opalić się — tzn. schamieć. Skąd ta teoria? Hej, mnóstwo tu w okolicy dawnych zaścianków po zagonowych szlachetkach. Stąd tradycja; czasem zdarzą się nawet rękawiczki przy pieleniu, co wcale nie głupie. Urocze są fartuszki, własnoręcznie tkane na krosnach. Na szarym lub białym tle biegną cieniutkie niteczki to znów pasy tęczowych barw. Nad wyraz podobają mi się te fartuszki i chusteczki, ale naszych kąpielówek nie zarzekniemy się. Może się przyjmą...

Pierwszy dzień żniw. Wyszliśmy na pola nie pierwsi. Już nas wyprzedziły dwie żniwiarki, jedna z POM, druga indywidualnego chłopa i rodzina od „Wacława", jak tu mówią. Chwat z Młodzianowskiego, podesłał maszynę do Misuków. Ale czy wszystkie w pracy? Dowiemy się

Dziemianiuk kroczy na przedzie, żona za nim odbiera, a ja podkładam sznurek pod garści. Drugą kosę ciągnie syn Dziemianiuka, trzecią mój kuzyn.

— Ile to możemy skosić przez dzień?

Stary obejrzał nas od nowa, a takim wzrokiem jak na targowisku wątpliwą krowę i orzekł — hektar.

— Hektar? No to policz pan. Obrót wszystkich kos daje 3 pokosy, co zajmuje ⅓ zagona. Takich zagonów przed nami 5. Ten pokos tnie pan już 14 minut, za minutę będzie skoszony...

— Tylko 14 minut? Stary Dziemianiuk szczerze się zadziwił.

— Czyli, że jak popracujemy 8 godzin — 2 hektary pewne.

Teraz stary oprzytomniał. Za nic — śmiać się zaczął dobrodusznie.

— Jak żyję pięćdziesiąt osiem lat, nie pamiętam, aby 3 kosy ścięły 2 hektary w 8 godzin.

O 13 był obiad. Część chłopów zeszła z pól, ale większość obiadowała na pokosie. Z ciekawością oczekiwaliśmy posiłku. Nad podziw: w wysokich do kolan dzbanach 15 litrów świeżego i zsiadłego mleka, chleb, masło, ser, placki pszenne na drożdżach i smażone na patelni, szynka, po wiejsku wędzona, osobliwie smaczna, słonina, sucha kiełbasa, jaja, ogórki kiszone, miodu plaster i kompot z rabarbaru. Myślałem, że to wystawa przed gośćmi z miasta, albo że to tak u Dziemianiuka, który jest średniakiem. Nie, typowe to dla całej okolicy zarówno u bogatych jak i biednych. Na żniwa musi być wszystkiego pod dostatkiem, chociażby kosztem innej pory roku. „Musi"... bo tak być może w Polsce Ludowej... Żniwa to okres ciężkiej pracy. Mądra przeto praktyka skrzepić siły. Ale w tym „świętowaniu" wyczułem coś więcej. I miałem rację. Stary Dziemianiuk powiedział: Teraz to na żniwach bardziej wesoło niż dawniej bywało na weselach. — Powiedział więcej niż sam sobie uświadamia.







I on, i wielu innych chłopów, kiedy pytałem o socjalizm, odpowiadali żwawo — podoba się, bo głosi równość.

— A spółdzielczość produkcyjna? Pytałem w dniach, kiedy dojrzewało zboże i chłop co dnia szedł je na polu oglądać ciesząc się, że wkrótce będzie jadł nowy chleb, że stodołę wypełni obfitym zasobem, że sprzeda państwu, wypełni obowiązek, będzie miał gotówkę i czego w domu potrzeba posprawia.

Spółdzielczość? — To już nie moja własność — społeczna.

— A społeczna, to nie twoja? —

— Społeczna? Na ten przykład GOM, o tę, to czuję.

Jeszcze sobie nie uświadamia, że ją **już** czuje i że **już** odczuwa nowy charakter żniw, budzących w Polsce Ludowej pewność jutra i optymizm.

Zapowiedzieliśmy Dziemianiukowi, że do 16 wypoczywamy. Nic nie rzekł, ale osowiał. Dopiero teraz pojął, jak własna chytrość na hak go może przywieść. Zaryzykował wobec staroświeckiej opinii gromady. A niech ta brygada **nagusów** mało wiele skosi — pośmieją się na wsi z głupiego Dziemianiuka. Humor wrócił mu dopiero o 22. Na naszych działkach nie zdążyliśmy do 20, ale w dwie godziny później żyto było już w pokosie, ścięte i zestawione.

Dziemianiuk długo wodził wzrokiem po rżysku i snopkach. Podniósł wreszcie czapkę, podrapał się w głowę i tak się z głębi duszy ucieszył, że zapominając nam podziękować wymówił tylko — ady jest 2 hektary...

24 LIPCA

Mija drugi tydzień żniw. Żyto się osypuje, jęczmień dostały, a już owies i pszenica tylko patrzeć, jak dośpiewa. Dziwi mnie, dlaczego żniwiarki nie zostały w pełni wykorzystane. Młodzianowski przyrzeczenia dotrzymał, wszystkie 15 żniwiarek poszło w ruch. Ale nie w pełny obrót. Tak przynajmniej jest w Misukach. Na Miluskim skończyła pracę żniwiarka z GOM. Bogacz Chomicki swoją żniwiarką skosił zboże w jednym dniu. Już zapomniał o żniwach, o zwózce do stodoły, już dokonał podorywki, już sieje poplony, a o żniwiarkę nikt nie zabiega. Rozpytuję więc chłopów na polu i co słyszę... Jeden powiada: — Miałem dużą rodzinę to w dwa i pół tygodnia wszystkośmy wyżęli sierpem, ani jednego kłoska na rżysku...

— Po co sierpem, kiedy jest maszyna?

— A to prawda, ale gdzie mi do maszyny, kiedy się jeszcze nie nasmakowałem kosy.

— A jak długo używacie kosy?

— Dopiero od trzech latek.

Drugi powiada: — Panie, miałem cztery córki i syna. Człowiek na te siły rozliczał żniwa. A tu się ani obejrzałem, jak córki jedna po drugiej wyszły zamąż, a syn się do wojska na oficera dostał...

— No to tym bardziej powinniście...

— Czemu nie, ale w tym rzecz, że w rodzinie migiem się zmieniło, a nawyk panie pozostał jeszcze stary.

Na nauczyciela pan wygląda, to taki dam przykład. Jest szkoła i pięciu nauczycieli. Pochorował się jeden, idzie szkoła po staremu? Idzie. Pochorował się wnetki drugi, wyjechał trzeci, a jeszcze idzie bez alarmu u inspektora, choć przecie całkiem już w niej inaczej.

Więc kiedym został sam ze staruchą, ino sierp poszedł w kąt, bo by my chodzili ze dwa miesiące, a kosą da jeszcze radę. Przeskoki panie to trudna rzecz.

Trzeci odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Sam się dziwuję, bo dawniej w takich Stasiewiczach albo Glutyczach, gdzie sama biedota, a piaski akurat na zalesienie, mogłeś brać chłopów do najmu, ileś tylko chciał. Dobra wtedy była i kosa, człek się najęty męczył. Ale gdzie teraz szukać najemnika, a ten co się godzi za dniówkę, żąda 100 — 120 zł i jeszcze go nie znajdziesz.

25 LIPCA

Stary Dziemianiuk rozgadał się.

— Ten zegarek spokoju mi nie daje. Znaczy się, panowie wyrachowali plan na godziny. Żebym ja przewidział, tobym wcześniej wezwanie rzucił innym rodzinom, bo się podśmiewali z pomocy, za przeproszeniem — golasów, choć potem mi zazdrościli.

— W zespole można plan ułożyć, a im większy zespół, tym plan większy i lepszy. Gdyby tak całe Misuki wezwały do współzawodnictwa sąsiednią gromadę Gulsze, dopiero byłaby walka o czas.

— Panie, to my by się wtedy za kombajnem rozejrzeli. Ja sam się śmiałem, pókim na własne oczy nie zobaczył radzieckiego kombajnu w spółdzielni w Augustowie. Ruchu u nas tylko trzeba większego.

Nadjechał na rowerze Młodzianowski, słyszał ostatnie słowa.

— Trzeba większego ruchu, bo jak nie my, to wróg w ruchu...

— Co się stało?

— W Gulszach żniwiarka GOM pracowała u Kiełszy. Została w polu na noc. Dzisiaj chłopi zlatują się do maszyny, by ratować chleb, bo ziarno się wysypuje, a tu noże zniknęli. Klęli psiawiarę wroga-sabotażystę na czym świat stoi. Już dowiozłem nowe noże. Łajdak chciał opóźnić zbiory — nie opóźni. Choć to jego wpływ oddziaływa jeszcze na chłopów, że dwa i trzy tygodnie żniwują kosą, a żniwiarki nie biorą.

— Jak to jego wpływ?

— Nie rozumiecie trudności w naszej okolicy, wciąż jeszcze nie rozumiecie... i odjechał.

28 LIPCA

Przeczytałem Młodzianowskiemu dorywczo prowadzony dziennik.

— Po literacku wychodzi u was, że gmina Wyszki to zapadły kąt w województwie białostockim. A gdzie polityczny dowód?

Wydawało mi się, że zdążyłem się już uzbroić na taką zaczepkę. Polityczny dowód? W gminie Wyszki i sąsiednich jak Topczewo, Chroboty dużo jest kułactwa i szlachty zaściankowej. Opowiadano mi, że w Bańkach żaden Bańkowski nie połączył się dotąd dozgonnym węzłem z „chamką" ani żadna Bańkowska nie uszczęśliwiła „chama"...

— Cacy, ale nie w tym rzecz. Czy wiecie, że wielu z nich jeszcze w ubiegłym roku prowadziło **podwójne** życie?

W dzień na roli, a w nocy kradli, podpalali i grabili w napadach uzbrojonych band.

Czy wiecie, że dopiero w bieżącym roku wyciągnęliśmy z nory ostatnią bandę Husara? Odbył się pokazowy proces w Łapach. Zebrały się tłumy ludzi. Liczba ofiar straszliwa. Przeciętnie, co druga wieś miała zamordowanego. Byli to działacze partyjni, funkcjonariusze milicji, działacze kulturalno-oświatowi. Stare tu były gniazda, jeszcze z okresu okupacji. NSZ-owskie sztaby. Dlatego i ramię, które tu sięgało, było dłuższe od gminy Wyszki i powiatu Bielsko, bardzo długie... W tym zakątku dopiero od niedawna ludziom wraca spokój i równowaga myśli. Terror i plotka dezorientowały chłopów, zastraszały i jak ślimaków kurczyły pod skorupą. Wyobraźcie sobie, jak przy tym ogniu smażyli sobie pieczenie hultaje i wrogowie, którzy zakradli się do rad, GS, CUS i gdzie się dało, jak z tej strony dezorientowali chłopów. A jak utrudniona była praca oświatowo - rolnicza, kulturalna i polityczna?

Walka z wrogiem nie rozkłada się równomiernie po wszystkich gminach i powiatach i nie wszędzie przybiera jednakową postać. Tutaj była najcięższa i najostrzejsza. Ale dziś jesteście już w „odzyskanym terenie". Skończył się terror i straszenie chłopów. A bywało, że 1 Maja i 22 Lipca kończyły się nocnym wystrzałem, pobiciem i zagrożeniem. I od maszyn odciągano, od gomowskich maszyn. O tym wam chłopi nie mówili, bo wstyd im. Jeszcze tu przedwiośnie, ale jak to bywa, kiedy długo zima pasuje się z wiosną, lato wybuchnie nagle. Już w drobniejszych sprawach piszą listy do redakcji, w poważniejszych, kiedy demaskują wroga — jeszcze anonimy. Ale już się nie wahają. W skali krajowej to jakby etap wcześniejszy, ale dogonimy, dogonimy w „odzyskanym wreszcie terenie!"...

Jan Onopa



ZOFIA SZPROKOFF

TRZEBA WYJAŚNIĆ!...

(Do Komitetu Założycielskiego w Smoniowicach)

WIOSNĄ bieżącego roku powstał w Waszej gromadzie komitet założycielski spółdzielni produkcyjnej. Weszliście zatem w okres, który wymaga od Was jako członków komitetu założycielskiego szczególnego zaostrzenia czujności — spółdzielnię bowiem buduje się w walce. A formy walki klasowej komplikują się wtedy, wymagając od aktywu uczulenia na wszelkie jej przejawy.

Jakie konkretnie zadania stają w tak ważnym czasie przed Wami? Najważniejszym celem komitetu założycielskiego jest pozyskanie dla sprawy spółdzielni jak największej ilości członków. Komitet stać się więc musi ośrodkiem mądrej agitacji, czynnikiem mobilizacji całej gromady. Komitet założycielski jest czołówką, która walcząc o gromadę winna się o nią opierać.

A Wasz komitet powstał w trudnych i specyficznych warunkach. Zorganizowanie poprzedzają długie miesiące walki o aktywizację gromady, o podniesienie jej świadomości politycznej. Na wszystkich etapach mieliście do czynienia z silną opozycją. Stawiamy więc przed Wami pytania:

Czy do końca doprowadziliście walkę na poprzednich etapach?

Czy wiecie w pełni, kim jest Wasz przeciwnik?

Czy rozważyliście, kim są ci, którzy od 1945 r. przez pięć lat wodzili rej na wsi?

Pytań tych nie wolno Wam dłużej wymijać, bo od odpowiedzi zależy kierunek Waszego natarcia i metody walki i agitacji w okresie dla życia gromady przełomowym. Ale odpowiedzieć na te pytania nie jest łatwo.

Kim że są bowiem Wasi oponenci? Średniacy lub małorolni (od 3 do 7 ha). Czy zwróciliście na ten fakt uwagę? Nie są to po prostu kułacy i to obowiązuje Was do tym czujniejszego postępowania, do znalezienia źródeł działania tych, których sami nazywacie „starym aktywem".

W okresie poprzedzającym założenie komitetu wymknęły się Waszej uwadze ważne fakty. Wróćmy do nich.

Przywódcami opozycji byli od początku: Władysław Kulczycki, Edward i Wojciech Łój, Bolesław Kordecki. Oni założyli koło PSL. Kulczycki i Kordecki byli radnymi GRN, Kulczycki jest przodownikiem weterynarii. Ci sami ludzie kierowali w pierwszych latach budową świetlicy, w ich rękach znajdowały się pieniądze gromady przeznaczone na ten cel. Dlatego musicie sobie zdać sprawę, że walka o zdobycie gromady zaczęła się w Smoniowicach nie wtedy dopiero, kiedy powstał komitet założycielski, ale w roku 1950, gdy dotychczasowi „działacze" zdemaskowani zostali jako przywłaszczyciele mienia społecznego.

Udział w drugim etapie konkursu czytelniczego wyzwolił w gromadzie wolę aktywnego udziału w przebudowie życia wsi. Był to dowód obywatelskiego dojrzewania większości mieszkańców Smoniowic. Wtedy to upomnieliście się o pieniądze i sprawę budowy świetlicy przejęliście w swoje ręce. Umieliście wtedy zdemaskować Kulczyckiego i innych jako szkodników gospodarczych. Ale świadomość, że jest to przecież walka polityczna, zrodziła się u Was o wiele później.

W Smoniowicach zaczął rosnąć nowy aktyw. Główna walka z pola czytelnictwa przeniosła się do kółka miczurinowskiego, które miało według Was stać się zalążkiem spółdzielni. Nauka stać się miała bronią w walce o przejście do wyższej, zespołowej gospodarki. W tym kierunku pchnęliśmy pracę kółka miczurinowskiego w walce z opozycją. Wszak dawny działacz PSL, Edward Łój, był pierwszym przewodniczącym kółka. Wysunął on wtedy ideał indywidualnego bogacenia się. Naukę, doświadczenia miczurinowskie chciał wykorzystać tylko i jedynie jako środek podniesienia rentowności indywidualnego gospodarstwa.

Widać w tym to samo ograniczenie horyzontów myślowych „starego aktywu", które podyktowało Kulczyckiemu jego wypowiedź w drugim etapie konkursu czytelniczego: „Teraz chłop pracuje mniej — a wszystko dla siebie".

Usunięcie Łoja ze stanowiska przewodniczącego kółka miczurinowskiego, Kulczyckiego i Kordeckiego z GRN wyraźnie określiło stanowisko gromady.

A czy umieliście sprawę wygrać do końca? Otóż nie. Oskarżenie o przywłaszczenie pieniędzy zostało wycofane, nowi radni wysunięci przez gromadę nie mogli objąć stanowisk na skutek zarzutów wysuniętych przez Kulczyckiego.

Okazuje się więc, że zatrzymaliście się w pół drogi i tym samym ułatwiliście przeciwnikowi odzyskanie zaufania gromady. Był to błąd, który potem wydał owoce.

Gdy na jesieni 1952 roku sprawa budowy świetlicy stanęła na ostrzu noża (konieczność terminowego zwiezienia budulca), wokół Kulczyckiego zgromadzona była już z powrotem grupa spośród tych, którzy przeciwni byli powstaniu spółdzielni. Działalność Kulczyckiego nabrała wtedy wyraźnie politycznego wyrazu. — Nie pomagajmy przy budowie świetlicy — mówił — gdyż będzie ona wstępem do założenia spółdzielni.

W momencie, kiedy nauczyciel Zdenkowski przystąpił do organizowania trzeciego etapu konkursu czytelniczego, do poprzedniej plotki dorzucił Kulczycki drugą — Podpisanie makiety czytelniczej to „podpisanie ugody na wspólnotę".

W tym decydującym momencie, który pozwolił Kulczyckiemu zgromadzić wokół siebie grono nieufnych i niezadowolonych, nie umieliście spraw tych postawić jasno przed gromadą. Działalność Wasza ograniczała się wtedy do narzekań, do bezradnego rozkładania rąk, stając się właściwie kapitulacją.

Nie zauważyliście także, że Kulczycki skupiał wokół siebie ludzi i przyciągał ich do siebie także jako „wzorowy obywatel". Ten atut mieli w ręku także pozostali członkowie „starego aktywu". Zarówno bowiem Kulczycki jak i Edward Łój świetnie prowadzą swoje gospodarki, wzorowo wywiązują się ze swoich obowiązków wobec państwa, a to dużo znaczy dla zdobycia zaufania i posłuchu w gromadzie.

A czy zauważyliście, że postępowanie Kulczyckiego nie było jednoznaczne? Uważacie go za autora plotek, hamujących pracę przy budowie świetlicy. Cóż więc znaczy jego udział w budowie (zwózka materiałów)? Kulczycki wypowiada się przeciwko spółdzielni, ale gdy zarzucono mu na zebraniu gromadzkim, że bojkotuje członków komitetu założycielskiego odmawiając im pomocy sąsiedzkiej przystąpił do pracy na polu Władysława Głowy. I nie kto inny, a właśnie on był inicjatorem czynu 1-majowego w Waszej gromadzie.

O czym świadczą te wszystkie fakty? Przede wszystkim o tym, że sprawa Kulczyckiego, to nie jest sprawa jednostki, ale części gromady, która pozostaje w kręgu jego oddziaływania i jeśli chodzi o sprawę spółdzielni rozstrzygnie ją za wzorem Kulczyckiego.

Po drugie — nie zdajecie sobie sprawy, kim jest Kulczycki. Zarówno w przeszłości jak i teraz zatrzymywaliście się w najważniejszym momencie — kiedy należało odsłonić jego prawdziwe oblicze.

Kulczycki nie kułak, ale niegdyś działacz PSL utrudniający budowę świetlicy i dyskusję o spółdzielni był (a przynajmniej wydawał się być) — jednoznaczny. Ale dziś, kiedy ten przodujący gospodarz buntuje przeciwko świetlicy i przyczynia się do jej budowy, kiedy podobno odciąga od spółdzielni i daje pomoc sąsiedzką członkowi komitetu założycielskiego i inicjuje w gromadzie czyn 1 Majowy, przestał być jak dawniej jednoznaczny i dlatego stawia Was w obliczu o wiele trudniejszej walki o zdobycie gromady. Ale dlatego dłużej nie wolno Wam uchylać się od pytania:

Czy to wróg, którego trzeba do końca zdemaskować, czy człowiek, którego można pozyskać i wychować dla nowego życia? Czy postępowanie Kulczyckiego (zmiana stanowiska wobec Głowy, czyn 1-Majowy) to manewr wroga, który przyjął taktykę oddziaływania na gromadę przez pozorowanie „wzorowego obywatela", czy też jest to akt skruchy, dowód zrozumienia błędności dawnego postępowania i początek ewolucji ideologicznej?

Pytanie to musi być rozstrzygnięte, gdyż jest zasadnicze dla sprawy założenia spółdzielni w Smoniowicach. Idzie wszak o pozyskanie, a co najmniej zneutralizowanie grupy, skupionej wokół Kulczyckiego. Gdyby więc Kulczycki okazał się wrogiem, zdemaskowanie w obliczu gromady wpłynęłoby na grupę, skupioną wokół niego, przejdzie ona wówczas na Waszą stronę. A jeśli Kulczycki jest człowiekiem, który przechodzi zygzakowatą i żmudną drogę ewolucji ideologicznej (a tą idzie wraz z nim dawny aktyw PSL), to pamiętajcie, że brak Waszej pomocy może go odepchnąć i zniechęcić do spółdzielni, a za nim wielu innych.

Pamiętajcie więc, że sprawa Kulczyckiego wymaga wyjaśnienia!

Zofia Szprokoff

STANISŁAW WYGODZKI

WEDŁUG ZDOLNOŚCI I UMIŁOWANIA*)

NA zebraniu, zwołanym przez dyrekcję, zjawili się kierownicy działów, egzekutywa w pełnym składzie oraz przedstawiciele zakładowego zarządu ZMP.

— My już wiemy coś niecoś o tym, co się dzieje w Domu Młodego Robotnika — zaczął Laskowski, ale wiemy również, że obok zjawisk ujemnych istnieją także przejawy zjawisk dodatnich. Mówię: przejawy, bo to, co kolega Flisak zdołał zauważyć w ostatnich dniach, świadczy niewątpliwie o istnieniu dobrych cech u naszych *nowych* robotników. Przy właściwym postawieniu pracy wychowawczej możemy tę młodzież zmienić.

— W domu — ciągnął dalej — brak jest kierownictwa, brak działalności ZMP. Ale spraw domu nie należy odrywać od spraw produkcyjnych. Dlatego proszę kierowników działów, aby się podzielili uwagami na temat swoich doświadczeń w pracy z młodzieżą.

— Oni tu są za krótko — przerwał ktoś Laskowskiemu.

— Słuchajcie towarzysze i obywatele. Minęła druga dekada marca, a my jesteśmy pod planem. Było dość czasu na to, aby się zastanowić dlaczego w tym okresie zrobiliśmy mniej niż w lutym, pomimo że załoga była wówczas mniejsza.

— Oni mówią, że nie potrzebują pracować, ponieważ jako absolwenci mogą jeść i spać w domu.

— Dobrze, dobrze — Laskowski opędzał się tym słowom niecierpliwie. — Ale co wyście zrobili, żeby przekonać ich, że trzeba pracować?

— Jest duże bumelanctwo wewnętrzne. Bo choć zrobią swoje w pięć godzin, ale przez resztę czasu łażą po wszystkich kątach, gadają, urządzają sobie wzajemnie kawały.

— Tak po całej fabryce spacerują — wtrącił inny kierownik działu.

— I co?

— I wszędzie zaglądają, wszystko ich interesuje, nigdy przecież nie widzieli ani tak dużego zakładu, ani takich maszyn.

Laskowski uniósł się. Z trudem hamował gniew.

— A my, co? Sami mówicie, że chłopców wszystko interesuje, a nas nie stać na to, żeby ich zainteresowania skierować we właściwą stronę? Przecież to zdrowy objaw, że chłopcy chcą poznać wszystko, co się wiąże z ich pracą. Czy nie ma więc sposobu, aby uderzyć w ich ambicję i wykorzystać ją dla wprowadzenia nowych pomysłów, usprawnień, oszczędności? Jak my ich właściwie traktujemy? Nieomal jak intruzów, którzy nam przeszkadzają, czy nie tak? Gdybyśmy doszli do wniosku, że są tępi i leniwi, wówczas byłoby naprawdę źle. Ale sami przyznajecie, że robotę znają, przygotowano ich dobrze, zainteresowanie jest także, więc co? Nie wciągnęli się jeszcze do pracy — to jasne, ale to nie najważniejsze. Tu się ujawnia podstawowy brak roboty politycznej, uświadamiającej.

Laskowski odsapnął, zebrani milczeli. Dopiero po chwili poprosił o głos stary Szafranek, członek egzekutywy.

— Ja powiem tak, moi drodzy, że myśmy trochę tych młodych zaniedbali, nieprawda? Bo popatrzcie: na przykład u mnie robią nieźle. Ale jak mnie do narzędziowni biuro zatrudnienia przydzieliło takiego



młodego, który jest elektrykiem, to ja się pytam, co on ma u mnie robić, nieprawda? A po drugie, dlaczego on ma chętnie pracować, skoro chłopak kocha elektrykę i w tym dziale chciałby robić? On lubi elektrykę i na dział elektryczny pójdzie nawet za darmo — ktoś się roześmiał krótko, więc Szafranek poszukał wzrokiem. — Tak jest — powtórzył dobitnie. — Powtarzam to, co chłopak oświadczył: — w narzędziowni za tysiąc złotych nie będę robił, a na elektrycznym mogę i za darmo. — On — mówca znów odnalazł wzrokiem towarzysza, który przed chwilą się śmiał — nie liczy roboty na pieniądze, tak jest! I tu nie ma się co śmiać — nie spuszczał oka ze swego oponenta — bo takie jest prawo młodości, że robić pragnie to, co pokocha. Jeden robotnik kocha mechanikę, inny montaż, jeszcze inny robotę w odlewni, a jak młody ma jakieś zamiłowanie, to trzeba mu pomóc, bo tylko z takiego człowieka, który jest przywiązany do zawodu, wyrośnie kiedyś prawdziwy fachowiec, nieprawda? Skończyłem.

— A jak na innym oddziale nie ma dla niego roboty, to co zrobić?

— U nas może nie ma, ale w innych zakładach czekają tylko na niego, nie? Po co więc ma się tutaj marnować, gorzknieć i siać niezadowolenie?

— No to ja powiem tak — następny przemawiający był wysoki, zupełnie siwy, ale trzymał się tak prosto, jakby swoją postawą chciał dodać sobie dostojeństwa. — Ja mam u siebie podobny wypadek. Mnie do odlewni przydzielono na odmianę tokarza. Ten za darmo robić nie będzie. Chciałby też przejść do roboty, której się nauczył i którą kocha, ale cóż? — Tu podniósł głos — ja go nie zwolnię, bo mam za mało ludzi. Ja go nie mogę puścić, dopóki nie dostanę dostatecznej ilości pracowników.

— „Ja" ciągle „ja" — przerwał mu Laskowski. Wy wciąż mówicie „ja", ale wy nam lepiej powiedzcie, co mówi ten młody robotnik? Może on tylko cierpliwie znosi to wasze „ja" i „ja"? Teraz już rozumiem dlaczego taki młody chłopak postępuje niewłaściwie, dlaczego chodzi zły, nie chce pracować, a całą złość wyładowuje gdzie indziej — na meblach i na urządzeniach domu i świetlicy. Jeżeli nie ma dla niego zrozumienia, jeżeli nie może pracować tam, gdzie pragnie, jeżeli nie otwieramy mu żadnych perspektyw, to my, my sami robimy z niego bumelanta, szkodnika, a może nawet i wroga. Bo na czym rzecz polega? Chłopak zdobył specjalność, której nie może zużytkować, więc jest szkoda nie tylko dla niego, ale i dla państwa, ponieważ nie robi on tego, czego nasze państwo go nauczyło i do czego ma kwalifikacje. A przecież już w czasie nauki poszczególne zainteresowania młodych ludzi były brane pod uwagę.

— To dajcie go gdzie indziej i będzie spokój.

Zanim go oddamy, on się nauczy u nas chuligaństwa i pijaństwa. Taki będzie rezultat. I to samo stanie się za pół roku, kiedy przyjadą do nas dziewczęta z Łodzi — mówiąc to Laskowski spojrzał na Marysię. — My już teraz musimy uczyć się na dotychczasowych doświadczeniach, żebyśmy nie powtórzyli wówczas tych samych błędów.

— O, wtedy pewnie znów się znajdzie jakaś Głowacka, albo, jak chłopaki mówią, jakiś „Szwejk" w spódnicy w charakterze wychowawczyni — przerwał ktoś drwiąco Laskowskiemu.

Laskowski nie dał się zbić z tropu.

— Otóż i to jest ważne. Musimy chłopców nauczyć poszanowania własności społecznej, podciągnąć dyscyplinę pracy i znaleźć kogoś rozumnego, kto by objął dom i tam również popracował z młodzieżą, ale... — Laskowski urwał i odczekał chwilę. — Ale tego rozumnego musimy znaleźć pośród pracowników naszego zakładu, bo to są dwie strony tego samego medalu — sposób życia w domu i stosunek do pracy w fabryce. I dlatego widzę tu duże pole dla działalności naszego ZMP.

Po zebraniu, już w drzwiach, stary Szafranek zatrzymał Laskowskiego.

— Wiecie — zaczął — mówił mi mój syn, że miałby ochotę pracować w naszym domu dla robotników, tylko nie jestem pewien, czy to u niego słomiany ogień, czy to tak naprawdę.

Laskowski odparł obojętnie.

— Mówiłem z nim niedawno, ale jakoś mi nic o tym nie wspominał. Zapytajcie go, bo Głowackiego będziemy musieli usunąć.

Stanisław Wygodzki

*) *Fragment powieści, której akcja rozgrywa się w Zakładach „Ursus" w 1951 r.*

JAKUB LITWIN

Dzieje praw ludnościowych (III*)

HISTORIA wykazuje z całą oczywistością — i to jest jeden z najmocniejszych dowodów słuszności marksizmu - leninizmu, przedstawionych przez samą praktykę społeczną — że każda formacja społeczna posiada swoje specyficzne prawa ludnościowe, których nie można przełożyć na inne formacje. Czy społeczeństwo niewolnicze, powiedzmy, znało rezerwową armię bezrobotnych?

Walka o źródła siły niewolniczej była jedną z podstawowych przyczyn tego niekończącego się pasma wojen, o których mówi historia starożytna — a wyczerpanie się niewolniczej siły roboczej było jedną z przyczyn upadku formacji niewolniczej. Nie trudno jednak obserwując starożytność zauważyć, że istniał tam proletariat — klasa uboga pozbawiona własności, której jednak nie wciągano do produkcji i która ze swej strony nie bardzo kwapiła się do pracy. Można więc powiedzieć, że potencjalnie istniała nie zatrudniona siła robocza, która bezużytecznie trwoniła czas, żyła na koszt społeczeństwa — której jednak społeczeństwo nie umiało zatrudnić. A więc brak siły roboczej przy potencjalnym istnieniu nie zatrudnionej, próżnującej ludności. Przy tym paradoks — nie do pomyślenia w społeczeństwie kapitalistycznym — klasy panujące społeczeństwa niewolniczego dostarczały próżnującemu plebejatowi utrzymania, rozrywek, a nawet urządzały w myśl jego pragnień i żądań — wystawne uroczystości i imprezy.

Dawna bowiem formacja przystosowana była tylko do pracy niewolniczej. W konsekwencji trzeba powiedzieć, że podstawowym problemem ekonomicznym dla społeczeństwa niewolniczego (szczególnie w jego wyższych stadiach) był brak siły roboczej. Jednym słowem obraz jest tu inny niż w ustroju kapitalistycznym.

Również na społeczeństwo feudalne nie można przenieść praw ludnościowych kapitalizmu. Feudalizm cierpiał chroniczny głód, który częstokroć przekształcał się w długotrwałe katastrofy głodowe — oczywiście dla chłopów, nie zaś dla szlachty; ale feudalizm nie znał w istocie problemu armii rezerwowej ani też nadmiaru rąk roboczych. Wiadomo przecież, że właściciele feudalni uganiali się nawet za tymi chłopami, którzy uciekali z ich posiadłości, ustanawiali prawa przeciw zbiegostwu chłopów i zmuszali tych, u których zbiegowie się ukrywali, do zwrotu zbiegów.

Marks wielokrotnie przypominał, że problematyka ludnościowa właściwa kapitalizmowi rodzi się dopiero na gruncie kształtowania się i wzrostu przemysłu. „Ta swoista droga życiowa nowoczesnego przemysłu — pisał Marks o kryzysach kapitalistycznych i związanej z nimi problematyce demograficznej — niespotykana w żadnej poprzedniej epoce dziejów ludzkości, była również niemożliwa w dziecięcym okresie produkcji kapitalistycznej", (K. Marks, Kapitał, t. I, str. 683).

W sposób zasadniczo różny od wszelkich poprzednich formacji kształtuje się problematyka ludnościowa w warunkach społeczeństwa socjalistycznego z tego przede wszystkim powodu, że jego podstawowym prawem jest „zapewnienie maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa w drodze nieprzerwanego wzrostu i doskonalenia produkcji socjalistycznej na bazie najwyższej techniki". (J. Stalin, Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR).

Z istoty więc gospodarki socjalistycznej wynika, że społeczeństwu socjalistycznemu obce są kryzysy, że nie zna więc ono zagadnienia „armii rezerwowej", którą powodują kryzysy gospodarki kapitalistycznej. Rzecz jasna, rozwój przemysłu socjalistycznego przyciąga coraz większe masy robotników — ale w przeciwieństwie do przemysłu kapitalistycznego, nie wyrzuca on „zbędnych" rąk roboczych na bruk, nie zna w ogóle zagadnienia „zbędności" siły roboczej, a zatrudnionych robotników nie traktuje jako źródła wyzysku.

Wiadomo, że wzrost wydajności pracy w społeczeństwie kapitalistycznym jest nierozerwalnie związany ze wzrostem wyzysku klasy robotniczej; w społeczeństwie socjalistycznym przeciwnie: wzrost wydajności pracy jest jednym z podstawowych warunków podniesienia dobrobytu mas pracujących.

Trudno przy tym pominąć, że kapitalizm (w szczególności kapitalizm monopolistyczny) prowadzi do jednostronnej, wąskiej specjalizacji robotników, co wiąże ich bardzo ściśle z losem określonej gałęzi przemysłu, z jej wahaniami i załamaniami; socjalizm natomiast zmierza do podniesienia kwalifikacji inżynieryjno - technicznych i poziomu kulturalnego u pracowników, co jest niewątpliwie dodatkowym zabezpieczeniem zatrudnienia, przy tym umożliwia państwu bardziej elastyczne, bardziej zgodne z potrzebami gospodarki narodowej i ludności operowanie kadrami robotniczymi i technicznymi Tak więc socjalizm likwiduje z jednej strony wszystkie trudności, które przyrostowi ludności stawia kapitalizm — z drugiej zaś strony wytwarza potężne bodźce, które znacznie przyśpieszają naturalny przyrost ludzi.

Ideologowie burżuazji powołują się niejednokrotnie na to, że kapitalizm przyczynił się do znacznego wzrostu liczebnego ludzi na świecie, czemu, oczywiście, trudno przeczyć; ale kapitalizm przedkładał podstawowej masie nowonarodzonych jedną jedyną perspektywę: w y z y s k u i n ę d z y. Kapitalizm zrodził problematykę „zbędnej" armii bezrobotnych, rzucił na masy pracujące klątwę wyzysku, głodu, ciemnoty, ogromnej śmiertelności, kalectw i chorób — i stał się potężnym hamulcem naturalnego przyrostu ludzi.

Do szczególnej perfekcji również w tej kwestii doszedł imperializm: nauczył się odbierać masom nie tylko pracę i chleb — ale po prostu życie i to w skali masowej; stworzył przecież nawet ideologię wojny jako narzędzia pozbawiania życia tych, których uznał za „niepełnowartościowych".

„...ludzkość — mówi Engels — mogłaby się rozmnażać o wiele szybciej, niż to jest potrzebne współczesnemu społeczeństwu burżuazyjnemu. Dla nas jest to jeden powód więcej, by uznać społeczeństwo burżuazyjne za przeszkodę rozwoju — i to taką, którą należy usunąć". (K. Marks i F. Engels: listy wybrane, str. 225).

Nie ulega wątpliwości, że wzrost klasy robotniczej w okresie kapitalizmu był niezbędną przesłanką uspołecznienia pracy (wykazując zarazem, że gospodarka kapitalistyczna przeżywa się). Ale przecież kapitalistyczny sposób produkcji stanowił mocną zaporę dla dalszego podziału pracy, przede wszystkim hamował likwidację tego, co w społecznym podziale pracy jest najistotniejsze i co najbardziej hamuje rozwój produkcji, mianowicie likwidację klas i antagonistyczny sposób produkcji. W konsekwencji zaś hamował proces uspołecznienia sposobu produkcji i pełne wykorzystanie istniejącej siły roboczej.

Również we wcześniejszych fazach rozwoju społeczeństw pierwotnych przyrost ludności miał niekiedy tego rodzaju skutek, że zmuszał społeczeństwo do zaspokajania niższych, bardziej podstawowych potrzeb ludności, a więc ciągnął w pewnej mierze produkcję w dół. Wynikało to z niskiego stopnia rozwoju produkcji, ze słabości techniki produkcji i prymitywizmu podziału pracy.

W istocie dopiero społeczeństwo socjalistyczne po raz pierwszy w historii zapewnia nieograniczone w zasadzie możliwości produkcyjnego wykorzystania wzrastającej masy żywej siły roboczej. Przyczyną jest tu, oczywiście, uspołecznienie środków i narzędzi pracy na bazie najwyższej techniki produkcyjnej. Szybki i stale rosnący przyrost zaludnienia przy wzrastającym zatrudnieniu i całkowitym zaniku bezrobocia w okresie Polski Ludowej — jest niewątpliwie nowym, mocnym dowodem ogromnej przewagi ustroju socjalistycznego.

Jakub Litwin

*) Patrz nry 30 i 31 „Wsi".

HENRYK WORCELL

ZWYCIĘSTWO MOBILIZUJE DO DALSZEJ WALKI

ZNOWU miałem sposobność zetrzeć się z kowalem Piwnickim. W nim to jest uderzające, że otwarcie wypowiada swoje wsteczne poglądy i czasem wydaje mi się to podejrzane, może w ten właśnie sposób maskuje istotną wrogość? Ciężki, nabity ciałem, świecący przedwczesną łysiną, umie nadzwyczaj łatwo podchodzić do ludzi, jakby był wujaszkiem każdego z nas. Zagada, pożartuje, umie rozśmieszyć kobiety. Wskażcie mu np. na wielką budowlę, wzorowy PGR lub spółdzielnię produkcyjną, powie wtedy, że to „dla oka, na przynętę, aby ludzi tumanić". Kiedyś na zebraniu gromadzkim Krasica pokazywał kolegom plakat z makietą Pałacu Kultury i wyrażał podziw dla tego daru Związku Radzieckiego. Obecny przy tym Piwnicki stuknął się palcem w czoło i rzekł: „Frajer, ty myślisz, że to dla nas"... Ileż takich powiedzonek rozsiał w ciągu kilku lat pobytu w Zdarzycach Dolnych!

Na kilka dni przed Powiatowym Zjazdem Przodowników Czytelnictwa roznosiłem zaproszenia dla 23 konkursistów. Zaproszenia otrzymali ci wszyscy, którzy dali wypowiedź bardzo dobrą: Rucińska, Puławska, Lichoń, Krasica, Mitręga, Gozdawa, Modera, zetempowiec Skara, Borutowa, Tatarecka, Piochowa, młoda Potyrałowa i jeszcze kilka dziewcząt i kobiet.

Piwnicki przed chwilą rozstał się z Justkiem, teraz stał sam na drodze przed swoim domem jakby w oczekiwaniu, by do kogoś zagadać. Nawinąłem się ja, więc: — „Chodzisz, widzę, chodzisz, starasz się widzę..." Stanęliśmy naprzeciwko siebie i chwilę przypatrywaliśmy się sobie z napiętą uwagą.

— No, jak ci robota idzie?

— Jak na Zdarzyce, to nawet nie źle. Myślałem żeś mocniejszy i więcej ludzi zbałamucił.

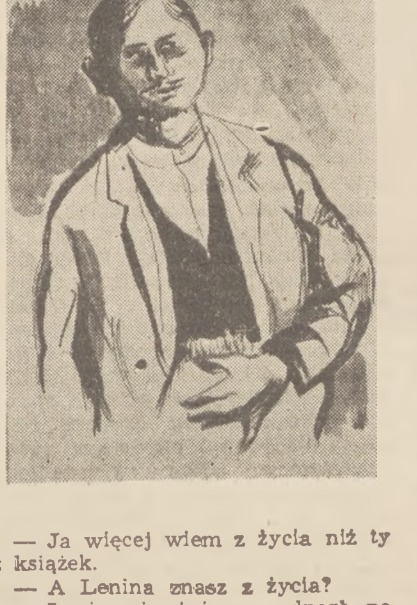
Uśmiechnął się grubymi wargami i rzekł wymawiając z naciskiem wyraz „jo".

— Co ty myślisz, że jo ci tu specjalnie bruździł? E, bracie, nie warto. Jo wierzę w życie, nie w literaturę. Człowiek przeczyto i zapomni, a papu — poklepał się po brzuchu — codziennie musi.

— To znaczy, nie wierzysz, żeby książki miały wpływ na życie?

— A no nie. Słowo pisane to jak nieżywe. Jak ta figura — wskazał na kamiennego świątka stojącego w ogrodzie. — Gadaniem więcej byś zrobił.

— Nieprawda. Znam we wsi ludzi, którzy się właśnie przez książki i gazetę zmieniają. Przecież ty nie czytasz, to skąd możesz wiedzieć?



— Ja więcej wiem z życia niż ty z książek.

— A Lenina znasz z życia?

— Lenin nie żyje — odparł po namyśle.

— Żyje. Żyje w ludziach i w książkach, ale ty książek nie czytasz, to i Lenina nie poznasz.

— A po co?

*

Jechaliśmy do Dziewanowa na zjazd przodowników czytelnictwa. Przyłączyły się do nas paroosobowe grupy ze Zdarzyc Górnych i z Guzanowa, jechała też nauczycielka Jasińska — pociąg na każdej stacji zagarniał świąteczny tłumek, witali się znajomi śmiechem i okrzykami. Dumny byłem ze swego zespołu, najliczniejszego w powiecie.

W Dziewanowie w biurach ZSCh prezes Kwiatkowski i kol. Balicka kończyli na gwałt segregowanie nagród, na stołach leżały stosy książek, jakieś pudełeczka, notesy, albumy. Na przeciwnej stronie ulicy, w sali Teatru Miejskiego, uzupełniano dekoracje. Znalazłem miejsce dla naszej gazetki ściennej, nad którą pracowałem wczoraj wieczór razem z Krasicą i Rucińską. Na samym dole gazetki umieściłem barwne karty tytułowe trzech książek i miejsce na podpisy członków zespołu. Obserwowanie ich w chwili, gdy czytali i składali swe podpisy, dało mi sporo do myślenia. Pierwszy raz zetknąłem się z tak bezpośrednim oddziaływaniem gazetki ściennej na grupę ludzi, bo oto — wbrew temu, co twierdzi Piwnicki, że „słowo pisane, to jak nieżywe" — ludzie zastanawiali się nad treścią tych kilkunastu zdań gazetki. Lichoń, upraszczając hasło powiedział:

— Dobre to: *przez książkę — do dobrobytu i kultury*. Ale po coście dali fotografię naszej wsi koło Pałacu Kultury? Głupio, gdzie Rzym, gdzie Krym...

— E, bo pan nie rozumie, co to znaczy — wtrącił się Skaza. — Nie tylko dla Warszawy — Pałac Kultury jest także i dla Zdarzyc — tak to trzeba rozumieć, tylko że my tego nie napisali pod zdjęciami.

— Aha, jak dla Polski to i dla nas, prawda.

— Popatrzcie tylko tu — powiedział Modera podkreślając palcem ostatnie zdanie gazetki: „Zobowiązujemy się zjednać dla IV etapu konkursu czytelniczego 140 uczestników w naszej gromadzie i wzywamy gromadę Borek — Zdrój do współzawodnictwa z nami". — Ciekawym, co na to Borek?

— Panie! — chwycił się za ucho Skaza — włosy im na głowie staną, jak to przeczytają. Naszych stu czterdziestu uczestników! Stojący obok jakiś obcy chłop, niski, chudy, z obwisłymi wąsami i świdrującym spojrzeniem, poruszył się i stuknął sękatą laską o podłogę.

— To wyście, widzę nie czytali naszej gazetki. Idźcież i przeczytajcie, o tam, wisi, tam, tam... — wskazał laską na przeciwległą ścianę.

— To wy z Borku? — wybałuszył oczy Skaza,

— A no, przecież widzisz, jak mi włosy dęba stanęły!

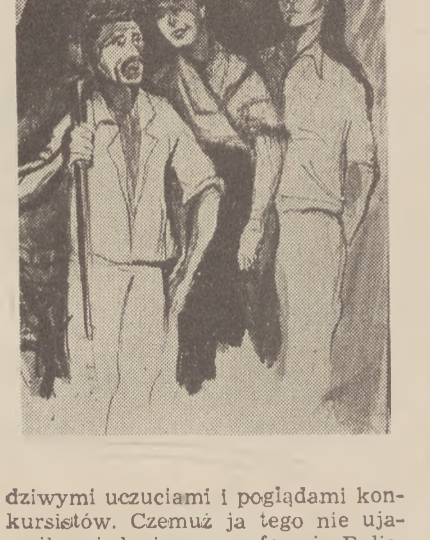
Nasz zespół hurmem przeleciał na drugą stronę sali i skupił się pod gazetką Borku-Zdroju. Patrzymy, a tam jak byk stoi: „Wzywamy Zdarzyce Dolne do współzawodnictwa i zobowiązujemy się w IV etapie konkursu powiększyć nasz zespół do 150 członków". Ten i ów spośród nas obejrzał się, zerknął na wąsatego chłopa, który stał z laseczką w ręce i świdrował nas oczkami.

— Ja słowo daję — zawołał Skaza — ja sam się postaram, żeby u nas było dwustu członków!

Tymczasem sala zapełniała się ludźmi, jedni zasiadali już w krzesłach, inni krążyli wzdłuż ścian, łączyli się w grupki, dolatywały mnie fragmenty rozmów.

Słuchałem w roztargnieniu, gdyż co innego mi w głowie siedziało. „Gazetka ścienna dla Zdarzyc Dolnych". Już sobie wyobrażałem, jak ona powinna wyglądać: po lewej stronie nagłówek: „To jest dobre" albo „To przyśpiesza realizację Planu 6-letniego", a po prawej: „To jest złe" albo „To opóźnia realizację Planu 6-letniego". I pod tymi nagłówkami wszystko co dobre i złe w gromadzie. Więc: Dobraniecki i Ośrodek Maszynowy. Koło ZMP, konkurs czytelniczy, sekretarz Podstawowej Organizacji Pioch, zalążek spółdzielni produkcyjnej, a po drugiej stronie: Mąciło, Kajmer, Cieślakowa, nadużywanie dzierżaw itd. Taka gazetka będzie żywa, postaramy się, żeby i Piwnicki na swojej skórze odczuł *słowo pisane*.

Przemawiali już członkowie prezydium, delegat woj. Zarządu ZSCh i sekretarz PRN, a ja — zaproszony również do stołu prezydialnego, siedząc obok świetlicowej Pochroń ze spółdzielni produkcyjnej Bukowiec — obmyślałem, kogo by wciągnąć do komitetu redakcyjnego: Krasicę, Rucińską, Puławską, Piocha? Już kol. Balicka czytała swój referat sypiąc cyframi i cytując najlepsze wypowiedzi konkursistów. Zastanowiło mnie to, że ona nie uwzględnia „martwych dusz". A przecież wiadomo mi, że w Zdarzycach Dolnych — nawet przy mojej usilnej pracy — co najmniej 20 proc. wypowiedzi nie pokrywało się z prawdziwymi uczuciami i poglądami konkursistów. Czemuż ja tego nie ujawniłem i dopiero w referacie Balickiej zauważyłem? Łatwo operować optymistycznymi cyframi, ale czy to korzystne? Prawdą jest, że zwyciężamy, ale to nie znaczy, że już zwyciężyliśmy. Postanowiłem pomówić o tym z Balicką.



W końcowym przemówieniu prezesa Kwiatkowskiego zastanowiła mnie jego uwaga, że nikt z nas nie wspomniał o trudnościach i przeszkodach, jakie stawiały akcji konkursowej siły reakcyjne, a przecież wiadomo, że przeszkody były. Tak, to prawda, powinienem był wspomnieć coś o Gorczakowskich, o Piwnickich, o sołtysie Pietryckim — uczynię to w gazetce ściennej.

Nastąpiła najbardziej emocjonalna chwila zjazdu: rozdawanie nagród. 10 oznak przodowników czytelnictwa III klasy, 5 srebrnych II klasy, szachy, wieczne pióro, notesy, albumy i sto kilkadziesiąt książek, wśród nich grube tomy zbiorowych pism Prusa i Orzeszkowej. Z początku obserwowaliśmy wywoływanych po nagrody, potem już oglądaliśmy tylko książki. Zaczął się zabawny handel wymienny, za Prusa dawnego Mickiewicza, za Orzeszkową Kraszewskiego. Ja sam zrobiłem dobry interes, bo mając w bibliotece aż trzy „Stare Baśnie" zamieniłem dwie na Balzaca i France'a. Balicka przed rozdawaniem nagród ogłosiła, że Zdarzyce dzielą pierwsze miejsce z Borkiem Zdrojem.

Henryk Worcell

PABLO NERUDA — spolszczyła IRENA TUWIM

Pieśń o nowych Chinach

(fragmenty)

Wioska o poranku.
Wita mnie światło i dzieci.
Chłopi mi pokazują
całą swą ziemię zdobytą,
wspólny urodzaj,
spichrze i domy
dawnego dziedzica.
Pokazują mi miejsce
gdzie ubogie matki
gasiły życie swych córek
lub sprzedawały je
tak jeszcze niedawno,
ach, jeszcze tak niedawno.
Teraz głód i zaraza
wydają się złym snem.
Przychodzili Amerykanie,
Japończycy, bankierzy
Londynu i Francji,
ziemię chińską cywilizować,
szarpali jej trzewia na sprzedaż
po wszystkich giełdach świata,
chcieli z niej zrobić dziewkę,
chcieli z niej szynk ogromny
zrobić dla swoich wojsk,
kram jedwabiu i głodu;
a wzdłuż rzeki wysoko
rosły stosy szkieletów
i płakały wioski
czarnym dymem i dżumą.
„Ach, jak ci Chińczycy
łatwo umierają"
zawołała wytworna dama
czytając gazetę;
a wzdłuż rzeki wysoko
rośli górą popiołów
umarli;
głód chodził drogami Chin —
w New Yorku Czang Kai-szek
nabywał budynki do spółki
z Trumanem i Eisenhowerem.
Melancholii cytadela antyczna
cuchnęła kałem i opium,
tłum umarłych
zaludniał więzienia,
studentów tracono
na publicznych placach
z rozkazu Ameryki,
a tygodnik LIFE
zamieszczał fotografie
pani Czang Kai-szek
wytwornej jak jeszcze nigdy.
Precz ze złym snem!
Wygnajcie go z Chin!
Wygnajcie go ze świata!
Pójdźcie ze mną do wioski!
Wchodzę
i widzę spichrze,
widzę uśmiech
Wyzwolonych Chin.
Chłopi
podzielili ziemię.
Z gór, od Junanu
nadeszła wolność,
bosa czy w zdartych butach
chłopów i żołnierzy.
O wolności chińska,
jesteś moją muzą,
idziesz pylną drogą
w swym roboczym błękicie.
Nie miałaś czasu zmyć
ani wysuszyć plam twojej krwi,
ale idziesz naprzód
a czarna ziemia idzie razem z tobą.
Idzie do wolności
zapomniana Boliwia,
idzie Chile, idzie z tobą Iran.
Idę razem z tobą
do chińskiej wioski,
razem z moją muzą,
moją dziewczyną w żołnierskim
błękicie.

Muzo wichrów,
muzo wolnej ziemi,
tobie śpiewam
przepasanej skórzanym pasem,
zbrojnej karabinem,
twoim wyschłym ustom
śpiewam, muzo moja!
Przyjdź niosąc ogień i proch
na wszystkie ulice świata,
przyjdź w pocie i w krwi,
a będzie czas, by je obmyć.
Naprzód więc, naprzód, naprzód!
W jednej wiosce ujrzałem
całe Wyzwolone Chiny.
Nikt mi tego nie mówił.
Nadbiegły dzieci
i nie chciały mnie puścić.
Jadłem ich ryż, ich owoce,
piłem ich białe wino ryżowe;
i pokazywali mi wszystko
z tą samą dumą,
którą widziałem w Rumunii,
którą widziałem w Polsce,
którą widziałem na Węgrzech.
Z tą nową dumą chłopa,
który w blasku porannym świata
pierwszy raz widzi kwiat,
pierwszy raz patrzy na owoc,
pierwszy raz ogląda, jak rośnie
pszenica,
i pokazuje ci potem
rzeczy nowe, starsze niż świat,
ryż i winne grona,
jaja od swojej kury,
i słowa wymówić nie może.
Po raz pierwszy
wszystko jest jego,
wszystek ryż,
wszystka ziemia,
całe życie.

Wchodzę do wioski
na wyzwolonej ziemi,
a powietrze jest samą słodyczą
i oddycham życiem,
ziemią, zwycięstwem.
Powitania! Gdzie jestem?
W Chinach? Jakto, gdzie?
Jeśli dotkniemy
rękoma tej ziemi
jest ona ta sama
tu, co w Patagonii,
czy wyspach oceanu,
ziemia jest zawsze ta sama.
I teraz,
gdy wchodzę do wioski,
zapach chleba
i zapach dymu,
zapach pszenicy,
zapach wody i wina
jest z mojej ziemi,
jest z całej ziemi,
więc pozdrawiam z czcią
pradawny kraj,
jego piękno,
urodzajność pól,
jego oblicze z kurzu i światła,
blask wolności
w jego uśmiechu.
I pomyślałem o moich brzegach,
o mojej fladze,
o moich piaskach i pianie mych fal,
o wszystkich moich gwiazdach.
Tak owego poranka
wszedłem śpiewając
do tej wioski chińskiej,
bo moje serce
stało się gitarą
i każda struna śpiewała
wspomnieniem mojej ziemi,
śpiewała wspomnieniem
mojej Ojczyzny,
mojej Ameryki.
Ilekroć przychodzę
do ludzkich domostw
do wolnej ziemi.
wszystko zdaje się proste,
tak proste jak moja miłość,
jak nasz pocałunek.

FRANCISZEK SĘDZICKI

NA KASZUBACH
DWIE PIOSENKI RYBACKIE

I

Na szterdzesce mil od brzegu
Hen, mój moelk [1]) żegluje,
I skwarem dnia, z nawałą sniegu,
Z burzą się mocuje.
Każdy wał [2]) mu zgubę niesie,
Wiater szarpie żagle,
Barka spado, to znów pnie się,
W otchłań wpado nagle.
Cężki żywot je rybaka —
Smerc dokoła skacze,
Pryszcze pianą, jakby smoka,
Piesn smiertelną gdocze.
Na szterdzesce mil od brzegu
Luby mój żegluje,
Bez spoczynku, bez noclegu,
Za mną wypatruje.
Za mną wypatruje — le [3]) mojim nie bendzie,
Bo tak zapisany nie je w losu ksiendze.
Nie je w losu ksiendze — mnie innego rają,
A mojigo moelka mocno obmawiają.
Jego obmawiają, że do innej chodzi,
Mnie zawroco głowę, a do czasu zwodzi.
Ani ja go zdradzom, ani on mnie zwodzi,
Le przy tech obmowach żal się w sercu rodzi,
Żal się w sercu rodzi i rozłączy obu
I jeszcze zapędzi nas w końcu do grobu.

II

Kto stłumić niepokój zdoła,
Co dręczy duszę mą skrycie,
Cie [1]) spojrzę na piany dokoła,
Na szare niebo w zenicie?
Zachodzą wieczorni zorze,
I mniesąc [2]) swieci z błękitu,
Faluje burzliwi morze,
A na nim mój moelk od switu.
Serdecznie scysnoł mnie dłonie,
I wesół bujoł na fali,
Mówił, że wróci w dnia skłonie,
a potim zniknął w dali.
Zawistni morza otchłanie
I groźni nawyci [3]) burzy.
Le rybok zno ich i granic
I dłoń żelazno mu służy.
Le więcy grozy wiesc miesci
Co się od ludu wywodzi,
Co w swej okrutnej tresci
Domysł zły w sercu rodzi.
Z kryształów zamku na spodze
Pięknoscy cud się wyłanio
Królewne mórz — i na łodze
Ryboków czyha z pogonią.
Urociem [4]) wabi i spiewem,
Mar złudnich stworzo im raje,
Warkoczem swym — fal zalewem
Wciągo w podwodne kraje.
Moelku, w bacznoscy sę miejże,
Nie doj się morści złudze
Boże, mu wrócić sę dejże
Bo cężcim rybaczym trudze.

Ludowy poeta kaszubski, lat 74.

Obie piosenki zapisane są w autentycznej gwarze kaszubskiej i stanowią stały repertuar świetlicowych zespołów rybackich.

Aa 1) 1) moelk — miły. 2) wał — fala. 3) le — ale Ad 2) 4) cie — gdy. 5) mniesiąc — księżyc. 6) nawyci — zwyczaje. 7) urociem — urokiem.

JANINA KRAUSOWA

TO ŚPIEWAJĄ KASZUBI

TAM, gdzie się Wisła kończy — wrośnięte w piasek przybrzeżnych wydm checze kaszubskie patrzą małymi szybkami okien ku szumiącemu morzu bałtyckiemu. W rybackiej izbie przy wiązaniu sieci usłyszysz piosenkę. Rybacka piosenka, to dawna, tradycyjna niezmienna pieśń polskiego Wybrzeża. Melodię tę znają wszyscy.

Piosenka o żeglującym ku swej dziewczynie poprzez ciemną noc żeglarzu, wywędrowała dawno poza granice kaszubskiej ziemi. Znana niemal w całym kraju stała się najpopularniejszą piosenką ludową poświęconą morzu i jego ludziom i ona to właśnie jest najlepszym zaprzeczeniem rozpowszechnionego niegdyś ogólnie powiedzenia „Cassubia non Cantat" — Kaszuby nie śpiewają. Twierdzenie o rzekomej niemuzykalności Kaszubów rozpowszechniali zwłaszcza w ciągu ubiegłego stulecia służący niemieckiemu imperializmowi uczeni gdańscy, zwalczający wszystko, co na Pomorzu polskie i ludowe. Kaszubska pieśń, żywe świadectwo polskości nadmorskiej ziemi — była szczególnym przedmiotem ich nienawiści. Niesprawiedliwe powiedzenie zrobiło jednak niespodziewaną karierę. Wpłynęła na to między innymi i ta okoliczność, że tak Kolberg jak i Gloger, badacze ludowej pieśni polskiej, w dziełach swych nie opublikowali zebranych bogatych materiałów dotyczących kaszubszczyzny. Bogata i różnorodna ludowa pieśń kaszubska, zwierciadło życia i uczuć rybaków bałtyckich, chłopów z pomorskich pól, dziewcząt i kobiet pozostawała nikomu nieznana. A przecież w pieśni tej kryją się prawdziwe skarby prostej, wdzięcznej poezji ludowej. Świadczy ona o głębokiej, tylokrotnie zaprzeczanej uczuciowości chłopów polskich.

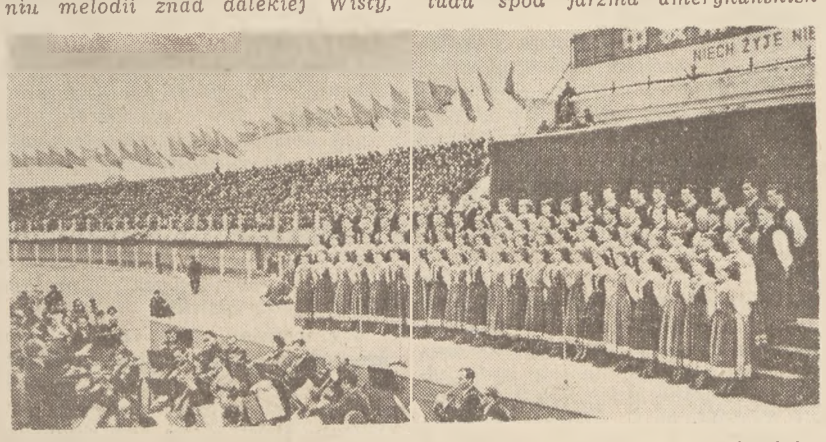
Bogata i różnorodna ludowa pieśń kaszubska posiada swoje specjalne ośrodki, w których jest szczególnie pieczołowicie kultywowana. Rybacką piosenkę najlepiej usłyszymy na Półwyspie Helskim. Dzieje się tak dlatego, że Hel od wieków zamieszkały przez najstarsze, szeroko rozgałęzione rodziny rybackie, zachowywał z pokolenia na pokolenie stare obyczaje i bardzo niechętnie dopuszczał do swych siedzib obcych przybyszów „z lądа". Specyficzny tryb życia i pracy mieszkańców Helu wytworzył tu odrębne ludowe obyczaje. Taka była tradycja, z którą dzisiaj Kaszubi zapoznają cały kraj. Aby ją poznać wystarczy odwiedzić Społeczny Dom Rybaka na Helu, gdzie ma swoją siedzibę amatorski zespół rybacki, kierowany od paru lat przez uzdolnioną artystycznie żonę miejscowego rybaka. Do zespołu należą młode córki rybackie zatrudnione w patroszarniach i wędzarniach ryb, starzy i młodzi rybacy. Zespołem opiekuje się partia i miejscowa Liga Kobiet. To pozwoliło na poważne sukcesy, jak otrzymanie II miejsca na zeszłorocznym Festiwalu w Warszawie. Zespół rybacki z Helu opiera swój repertuar przede wszystkim na pieśni ludowej Kaszub ze szczególnym uwzględnieniem tańców i inscenizacji. Znawcy tańca ludowego nazywają go starą ludową „Commedia dell'arte".

Na szczególną uwagę zasługuje wystawione w ubiegłym roku przez rybacki zespół amatorski z Helu widowisko regionalne pt. „Gwiżdże noworoczne" zwane do niedawna karnawałem kaszubskim.

Niemniej popularni jak rybacy z Helu są chłopi ze wsi Strzelno w powiecie wejherowskim. Strzelno, to jedna z najstarszych wsi na Kaszubach samorzutnie i od bardzo dawna kultywująca muzykę i pieśń ludową. Ruch ten otrzymał w tej chwili formę zorganizowaną w postaci świetlicy i pracujących w niej zespołów artystycznych. Stare pieśni kaszubskie zachowane do dziś w całej swej obrzędowej tradycyjnej krasie we wsi Strzelno pod Wejherowem przedstawiają w pełni bogactwo i piękno ludowej twórczości artystycznej Kaszub. To nieprawda, że „Cassubia non Cantat" — o nie! Kaszuby śpiewają i o tym powinno wiedzieć nie tylko Wybrzeże ale i cała Polska.

HENRYK SYSKA

„Mazowsze" wróciło do kraju



PAŃSTWOWY Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze" wrócił do kraju.

Przez wiele tygodni na deskach teatralnych, na estradach publicznych kilkudziesięciu miast i miasteczek Chińskiej Republiki Ludowej rozbrzmiewały dźwięki polskich melodii ludowych, unosił się kurz spod nóg wywijających dziarskie takty opoczyńskiego oberka czy kurpiowskiego powolniaka.

Wielka jest siła pieśni, sławiącej wolność i pracę, miłość i lud. Nie zna ona „granic i kordonów" — jak mówi refren porywającego hymnu Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej.

Czyż można się dziwić, że melodia „Bandoski", pieśń wiejskiej biedoty, odgrzebana z niepamięci gdzieś na Białej Puszczy Kurpiowskiej, przemówiła tak bezpośrednio do uczuć chińskiego słuchacza? Wszak melodia i słowa „Bandoski" — to nie tylko zwierciadło nędzy polskiego chłopa w latach niewoli politycznej i władztwa rodzimego obszarnika. W melodii i pieśni nadbużańskiej — podkreślam w melodii — bo słów „Bandoski" nie rozumiał widz z Pekinu, Szanghaju czy Kantonu — odczuł lud chiński ogrom swoich cierpień, których żadne z dzisiejszych wyzwolonych pokoleń wy-ucić ze swej pamięci nie jest w stanie.

Ileż razy chińska publiczność zmuszała Irkę Wiśniewską, śpiewającą dumkę „Ej, przeleciał ptaszek..." do powtarzania jej występu solowego. W tej lirycznej piosence wiele chińskich kobiet i dziewcząt, odnalazło wspomnienia z dawnego życia w ustroju kapitalistycznym, w którym nie miały nawet prawa do miłości i do prostego, ludzkiego szczęścia.

Naród chiński ma poza sobą wielką bohaterską epopeję. Nim czerwone sztandary zostały wzniesione nad tysiącami miast, jako zwiastun wschodu słońca po mrocznych nocach niedoli, jawiła się w bruzdach pól ryżowych krew chińskiego chłopa, a mury więzienne pełne były najlepszych synów narodu. Ale słusznie mówi chińskie przysłowie ludowe: „Gdy cały naród westchnie, robi się burza" i burza przeszła nad Azją. Nad przyszłością narodów czuwała partia, czuwał jej wódz — Mao Tse-tung. Toteż kiedy „Mazowsze" śpiewało pieśni o wodzu Chin Ludowych, publiczność ogarniał burzliwy entuzjazm. A gdy umilkły dźwięki pieśni o Mao Tse-tungu i ze sceny padła zapowiedź pieśni o przywódcy narodu polskiego, o Bolesławie Bierucie, zapowiedź utonęła w nieprzerwanej długiej burzy oklasków.

Pieśń mazowiecka biegła przez całą ziemię chińską. Ci, którzy nie mogli widzieć zepołu karolińskiego, podziwiali go za pośrednictwem głośników radiowych. Pieśń polska stała się bliska narodowi chińskiemu, a poprzez nią, zbliżył się bardziej niż dotychczas cały naród polski. Ileż serdecznego poruszenia wywołał w zespole karolińskim list tybetańskiego pastuszka o dźwięcznym imieniu Jań-Tao. List ten przebył tysiące kilometrów, aby wreszcie w Tien-tsinie dostać się do rąk adresata. Proste są słowa listu nieznanego chłopca wywołane wzruszeniami przeżytymi przy słuchaniu melodii znad dalekiej Wisły, Bugu i Narwi. „Nie widziałem Was — pisze Jań-Tao — lecz melodia Waszych pieśni dotarła do mojej dalekiej tybetańskiej wioski. Znam je już na pamięć i chociaż się nie znamy. jesteśmy już przyjaciółmi. Dziękuję Wam, za to, moi polscy przyjaciele".

*

Kilkunastoletni chłopak tybetański nie jest bynajmniej wyjątkiem. Nie nadarmo przecież mazowieckiemu zespołowi towarzyszyło bez przerwy dwudziestu artystów chińskich. Studiowali oni w najdrobniejszych szczegółach każdy ton polskiej melodii, każdy posuw polskich tańców. A wynik? — Nikt z zespołu karolińskiego nie spodziewał się podobnego rezultatu. Kiedy zbliżały się dni pożegnania z gościnną ziemią chińską, w Pekinie czekało ich oryginalne zaproszenie: Dla Zespołu pieśni i tańca „Mazowsze" miejscowi artyści i studenci szkół artystycznych urządzają koncert z programem... „Mazowsza". Któż by na miejscu dziewcząt śpiewających w zespole mógł powstrzymać łzy wzruszenia, gdy skośnooka Chineczka, nazwana przez polskie przyjaciółki Idą, wyśpiewywała udaną polszczyzną „A jak ja już będę siwa, siwiuteńka..." lub gdy dziewczęta chińskie wywijały na scenie polskie oberki, olędry i kujawiaki.

— „Odjedziecie od nas do swojej ojczyzny, ale pieśni Wasze i Wasze tańce pozostaną u nas. Przekażemy je naszym rodakom; gdzieście nie mogli dotrzeć z powodu braku czasu, dojedzie nasz chiński zespół, śpiewający Wasze piosenki, a oklaski, jakie zbierzemy, będą brawami dla Was i Waszej pięknej kultury".

*

Dumny jest Zespół pieśni i tańca „Mazowsze", że ich występy powitał osobiście w dniu 9 maja wódz narodu chińskiego — Mao Tse-tung. Widzieli go podczas pierwszomajowego przemarszu, na jego ręce składała dwuosobowa delegacja kwiaty i podarunki. Ale obecność Mao Tse-tunga w loży honorowej teatru, gdzie zespół śpiewał i tańczył, należy do najbardziej uroczystych chwil w historii zespołu. Zaledwie kilka miesięcy temu młodzież karolińska miała szczęście występować przed Józefem Stalinem, a kilka tygodni temu mogła znowu powitać wyzwoliciela chińskiego ludu spod jarzma amerykańskich kapitalistów i rodzimych ciemiężycieli spod znaku Czang Kai-szeka.

*

Zespół mazowiecki musiał przezwyciężać wiele trudności, przede wszystkim słoneczny żar chińskiego nieba. 47° C. to upał, jakiego nigdy nie notowały polskie stacje meteorologiczne; tańce i śpiew przy podobnych upałach w ciężkich wełniakach mazowieckich, to sztuka, wymagająca wiele samozaparcia. Do tego dołączała się tęsknota do kraju, o którym nie sposób zapomnieć nawet wśród serdecznych chińskich przyjaciół. Warto uprzytomnić sobie ilość wykonanych koncertów i zgromadzonych na nich widzów. Pekin — 10 koncertów, 104 tys. widzów, Kanton — 3 koncerty, 18 tys. widzów, Hankou — 2 koncerty, 12 tys. widzów. Na koncert w Fu-Szuń na nie wykończony stadion sportowy przybyło 40 tys. widzów. Ogółem zespół w Chinach, Mongolskiej Republice Ludowej i Związku Radzieckim oglądało 396.400 widzów. Mimo tych sukcesów, jak opowiadają dziewczęta karolińskie, gdy pociąg podjeżdżał do Bugu, cały zespół przeżywał ogromne wzruszenie. Dziś dziewczęta i chłopcy są już w Karolinie i rozjadą się do swoich najbliższych na miesięczny zasłużony odpoczynek, na wczasy do nadmorskich ośrodków. Wspominają swoją podróż do Chin, wdzięczni są za wizytę w Mongolskiej Republice Ludowej, wspominają pobyt w Związku Radzieckim, w którym — jak przed kilku miesiącami — przez cały okres powrotnej drogi towarzyszyła im serdeczna opieka i zaproszenie na następny przyjazd do Mińska, Moskwy, Leningradu, Kijowa. Po krótkiej przerwie wypoczynkowej, znów wrócą karolińskie dziewczęta i chłopcy do codziennej pracy. Będą doskonalić umiejętności artystyczne, wzbogacać osiągniętą wiedzę. Przyjdzie czas egzaminów, po których karolińskich artystów czeka samodzielny, twórczy wysiłek. Wierzymy w ich wytrwałość i talent, wierzymy w ich dalsze jeszcze wspanialsze osiągnięcia.

Henryk Syska

LUDOWE MUZEUM KASZUB

MUZEUM Kaszubskie w Kartuzach to jedno z najpiękniejszych muzeów regionalnych w Polsce. Na obszernym parterze i pierwszym piętrze rozmieszczono wszystko, co wytworzył przemysł domowy ludności kaszubskiej, całą historię rozwoju gospodarczego, kultury materialnej, twórczości artystycznej, obyczajowości, folkloru.

Od czerwca do października przez Kartuzy przewijają się tysiące wycieczkowiczów. Latem frekwencja w Muzeum przekracza 12 tysięcy osób miesięcznie. Ale to nie znaczy bynajmniej, że w zimie panuje martwy sezon w pracy muzeum. Zmieniają się, tylko zwiedzający — jest nimi wówczas miejscowa ludność Kaszub.

— Jako rodowity Kaszub znam dobrze teren — opowiada kustosz Muzeum, Teodor Treder. — Nieustannie wędruję z notatnikiem i aparatem fotograficznym, robię zdjęcia, plany, zapiski, powiększam stan posiadania muzeum i gromadzę wiedzę o etnografii i folklorze Kaszub. Ludność chętnie ze mną rozmawia i udziela informacji, a co za tym idzie — przyjeżdża do muzeum.

Ile ciekawych wiadomości, ile nowych przedmiotów zdobyłem od takich przygodnych znajomych. Oto choćby te „diabelskie skrzypce" — prymitywny instrument sprzed wieków, bez którego nie obeszła się ongiś żadna uroczystość rodzinna, czy wioskowa. A to „bazuna" pasterzy nadmorskich z Chłapowa, trąba parometrowej długości o tęsknym, przejmującym dźwięku, okaz jedyny chyba w swoim rodzaju. Ten zaś osobliwy instrument muzyczny to „bresztop", „blumbas" czyli „brzęczek", jak go zowią w rozmaitych stronach kaszubszczyzny; wykonany jest z beczułki drewnianej i włosia końskiego i z powodzeniem zastępuje basetlę.

Na parterze mieści się dział etnograficzny. Zawiera on historię rozwoju rolnictwa, rzemiosła, transportu, łowiectwa, rybołówstwa, tkactwa, obrzędowości ludowej. Prześliczna jest izba kaszubska, wypełniona zabytkami, oryginalnymi sprzętami przeważnie z połowy XIX wieku. Przedstawia urządzenie izby mieszkalnej oraz fragment kuchni. Na I piętrze duża i cenna kolekcja sztuki ludowej i rękodzieła: ceramiki, haftu, rzeźby, wyrobów z rogu i bursztynu, plecionek z korzeni i ze słomy, wreszcie obrazów na szkle.



Leon Necel, Garncarz Kaszubski ze wsi Chmielno, pow. Kartuzy

— Zwiedzającym muzeum chcemy pokazać nie tylko wczoraj, ale i jutro kaszubszczyzny, — objaśnia kustosz, prowadząc nas do specjalnego działu problemowego, gdzie zgromadzono ciekawie i przejrzyście opracowane plansze, fotomontaże i wykresy pod wspólnym tytułem „Kaszuby wczoraj, dziś i jutro". Ukazują one rozwój rolnictwa, przemysłu, hodowli, rybołówstwa, budownictwa wiejskiego oraz życia kulturalnego na Kaszubach.

— A co w Muzeum budzi największe zainteresowanie zwiedzających? — pytamy. Okazuje się, że — model pieca garncarskiego i bogata kolekcja ceramiki ludowej. Żywe są bowiem tradycje ceramiki na Kaszubach, już w odległości 9 km od Kartuz, leży stara wieś Chmielno — stary ośrodek garncarstwa ludowego. Hafciarstwo i garncarstwo to najbardziej charakterystyczne przejawy ludowej sztuki kaszubskiej. I dlatego bardzo wielu wycieczkowiczów, zwiedziwszy Muzeum w Kartuzach jedzie wprost do Chmielna.

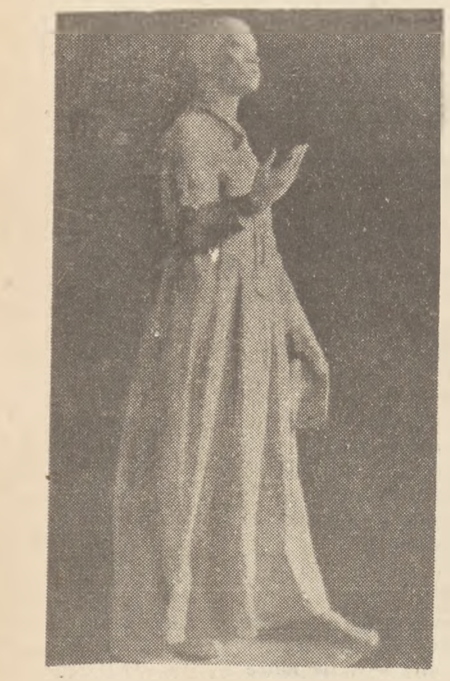
*

Licząca sobie 800 lat historii wieś Chmielno leży na przesmyku pomiędzy dwoma wielkimi jeziorami wśród wzgórz i lasów „Szwajcarii kaszubskiej", Brzegi obfitują w glinkę służącą do wyrobów naczyń garncarskich. To też Chmielno szczyci się prawdziwymi dynastiami wiejskich ceramików. Należy do nich również rodzina Neclów, trudniąca się garncarstwem od przeszło 300 lat. W chwili obecnej tradycję tę kontynuuje Leon Necel. Kształty jego ceramiki są proste i piękne. Barwy — złociste, brązowe i modre z bogatą szklistą polewą. Wzory zdobnicze to: tulipany, gałązka bzu, wieniec, gwiazda morska, łuska rybia. W tych pięciu wzorach ugruntowała się tradycyjna ceramika neclowska od dziada pradziada.

— Oj, nie chciałem uczyć się garncarskiego fachu — wspomina z uśmiechem Necel. — Kiedyś, kiedy mnie ojciec zasadził do warsztatu, zrobiłem ze dwadzieścia garnków z dziurkami na dnie. Wybuchła wtedy awantura — bo ojciec był twardy człowiek, ale potem tak się wciągnąłem do pracy, że nic innego w życiu nie chciałbym już robić. Pokochałem moją ludową sztukę. Teraz synów będę kształcił w Akademii Sztuk Pięknych, bo obaj zdolni, zdolniejsi ode mnie. Nie zaginie kaszubskie garncarstwo, a przeciwnie, będzie się rozwijać na rzetelnej postawie.

Leon Necel z Chmielna, ludowy artysta z Kaszub za osiągnięcia swojej sztuki został w tym roku odznaczony Krzyżem Zasługi.

Janina Krausowa



Smolana Adam (rzeźba) — Pak-Den-Ai.

TOMASZ ATKINS

Tydzień w świecie

PO WOJNIE W KOREI



Na polach Korei zatrzymana została największa machina wojenna świata kapitalistycznego. Fakt ten ma ogromne znaczenie; świadczy on o tym, że potęga przemysłowa i wojskowa, czołgi i działa, pancerniki i odrzutowce nie mogą same zagwarantować zwycięstwa, że jest czynnik, który waży znacznie więcej — jest nim słuszność sprawy, o którą się walczy. I to decyduje.

Można jednak wątpić, czy tak właśnie zrozumieją wymowę swojej klęski wojennej w Korei amerykańscy generałowie i giełdziarze. Raczej — sądząc z głosów prasy amerykańskiej — klęskę w Korei tłumaczą oni przeważającą siłą przeciwnika, chociaż niemal do ostatniej chwili podpisania rozejmu wyrażali się o sile tej z lekceważeniem i pogardą. Cóż, pobici generałowie starają się jakoś ratować swój prestiż. Ale i w tym wypadku nasuwa się nieodparty wniosek: jeśli wielkie Stany Zjednoczone nie mogły sobie dać rady z małą Koreą, to jakże mogą marzyć o zwycięstwie, gdyby odważyły się rozpętać nową wojnę światową?

Rozejm w Korei — to nie tylko zwycięstwo słusznej sprawy wolności, której tak bohatersko bronił naród koreański. Jest to nie tylko zwycięstwo wojskowe koreańskiej armii ludowej i ochotników chińskich nad doskonale wyposażoną i uzbrojoną napastniczą armią Ameryki i jej 14 wasalów. To przede wszystkim wielkie zwycięstwo sił pokoju — zwycięstwo prostych ludzi Polski i Indii, Anglii i Związku Radzieckiego, Francji i Włoch. Pod naciskiem opinii światowej agresor zmuszony został do przystąpienia do rokowań. Korea dowiodła, że jeśli prawda staje się powszechna, jeśli wola miłujących pokój ludzi jest zjednoczona i nieugięta, to można położyć kres przelewowi krwi, to można przelewowi krwi zapobiec.

Każdy dzień, który mija od podpisania rozejmu, utrwala i rozszerza w umysłach ludzi na całym świecie te lekcje wojny koreańskiej. Po rozejmie w Korei kolej na dalsze kroki w kierunku złagodzenia napięcia międzynarodowego — oto żądanie narodów, które ze wzmożoną siłą rozbrzmiewa we wszystkich krajach kuli ziemskiej.

W Polsce szerokie masy ludowe z ogromną radością przyjęły decyzję rządu w sprawie pomocy dla narodu koreańskiego w odbudowie zniszczonych miast, wsi i fabryk. Decyzja ta wyraziła najgłębsze uczucia naszego narodu. Przez trzy lata, śledząc tragiczne wydarzenia w Korei, każdy z nas zdawał sobie sprawę, że właśnie tam, na polu bitwy, przebiega jeden z najważniejszych odcinków frontu walki o pokój, że żołnierze koreańscy i ochotnicy chińscy bronią także pokoju naszych domów i naszej budowy. Obecnie mamy to szczęście, że możemy pomóc naszym dalekim, a jakże bliskim towarzyszom wspólnej walki o pokój i szczęście ludzkie. Jeszcze lepiej i jeszcze wydajniej będziemy pracować wiedząc, że z naszych pokojowych budów popłynie stal i maszyny, aby na nowo rozkwitła piękna i umęczona ziemia koreańska, aby życie zatriumfowało nad śmiercią. Pomoże Korei wielki Związek Radziecki, pomogą Chiny Ludowe i wszystkie kraje demokratyczne. Wszyscy uczciwi ludzie na świecie cieszą się, że dla narodu koreańskiego nadeszły znów dni pokojowej twórczej pracy. I tylko garstka podżegaczy przyjęła zawarcie rozejmu jako „tragedię" i nic dziwnego! Garstka ta obróciła, co prawda Koreę w gruzy, ale jednocześnie w gruzach tych pogrzebała swoje własne nadzieje na panowanie nad światem.

Jeszcze starają się amerykańscy imperialiści powstrzymać dalsze skutki rozejmu, kładąc na drodze pokoju nowe miny z opóźnionym zapłonem. Sekretarz Stanu USA, Dulles, odwiedza zbrodniczego prowokatora Li Syn mana, aby wspólnie z nim omówić „plany na przyszłość". A prezydent Eisenhower pisze osobiste listy do „europejskiego Li Syn mana", Adenauera, zapewniając go o swym poparciu dla planów wskrzeszenia wehrmachtu. Ciemne te machinacje wzbudzają czujność narodów, ale nie mogą zatrzymać rozwoju wypadków, świadczących o fiasku amerykańskiej polityki wojennej

Rozejm w Korei zadał śmiertelny cios polityce opartej na rzekomej konieczności odparcia „czerwonego niebezpieczeństwa". Wyzwolił on nawet takie siły, które dotychczas popierały politykę amerykańską. Za pokojowymi rozmowami ze Związkiem Radzieckim wypowiedziała się burżuazja angielska podczas ostatniej debaty nad polityką zagraniczną w Izbie Gmin. Opinia publiczna Anglii odżegnała się od amerykańskich planów bezwarunkowego wskrzeszenia wehrmachtu, poparcia dla Li Syn mana i kontynuowania blokady Chin Ludowych. Bita przez amerykańską konkurencję na rynkach światowych, upokarzana przez amerykańskich żołdaków na własnej ziemi burżuazja angielska — ten najwierniejszy dotychczas pomocnik imperializmu amerykańskiego — szuka własnej, samodzielnej drogi na arenie międzynarodowej.

Również i burżuazja francuska ma dość guzów i sińców, które otrzymuje w Vietnamie. Coraz trudniej jest jej prowadzić wojnę przeciwko narodowi walczącemu o wolność. A Stany Zjednoczone za pomoc każą sobie grubo płacić — nie mniej i nie więcej tylko całkowitą kontrolą nad Indochinami. Nic więc dziwnego, że we francuskich kołach burżuazji coraz częściej i coraz głośniej rozlega się argument: „Jeśli w Korei osiągnięto porozumienie pokojowe, to czemu nie można osiągnąć czegoś podobnego w Indochinach?"

Nawet burżuazja włoska — pokorna sługa Wall Street, próbuje się buntować. Dziesięć dni zaledwie istniał nowy rząd sługusa Wall Street, De Gasperi'ego, kiedy parlament pod naciskiem mas ludowych odmówił mu zaufania i zmusił do rezygnacji. Kryzys polityki atlantyckiej pogłębia się coraz bardziej; w naszych oczach rosną sprzeczności rozdzierające „wspólnotę atlantycką".

A tymczasem tempo marszu sił pokojowych nie słabnie ani na chwilę. Pokojowa akcja Związku Radzieckiego rozwija się i ogarnia coraz to nowe zagadnienia. Takim właśnie nowym dowodem pokojowej polityki Związku Radzieckiego jest decyzja rządu ZSRR zwolnienia Austrii z opłaty kosztów związanych z pobytem wojsk okupacyjnych. Jednocześnie rząd radziecki wyraził gotowość podjęcia rozmów w sprawie zawarcia z Austrią traktatu pokojowego, jeśli zostanie wycofany jednostronny i sprzeczny z zasadami pokojowymi i demokratycznymi projekt takiego traktatu, przygotowany obecnie przez mocarstwa zachodnie.

Konsekwentna pokojowa polityka Związku Radzieckiego jest głównym źródłem potęgi ruchu w obronie pokoju, źródłem nadziei całej ludzkości. I dlatego z miłością i szacunkiem ludzie pokoju na całym świecie witali przed tygodniem 50 rocznicę powstania Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego — przodującej i kierowniczej siły ZSRR.

Tomasz Atkins

DELEGAT NA ŚWIATOWY FESTIWAL MŁODZIEŻY W BUKARESZCIE

(Dokończenie ze str. 1)

ną łopatę i takie zastosował ruchy, że długo bił niedoścignione dla innych rekordy. To był objaw nowego w starych jeszcze warunkach. Gorący pęd do wynalazczości. Kiedy nadeszły radzieckie koparki, Wysocki został po kursie mechanikiem.

Katarzynę Dziewę bił kułak biłgorajski na służbie, w spółdzielni produkcyjnej w Dębach za osiem miesięcy zapisano jej 230 dniówek, została przodownicą.

*

— Jestem córką lubelskiego ludu. Zabił wróg mego ojca. Ojciec był pierwszym członkiem PPR w naszej wsi Siedlisko. Wzięłam w serce gniew odwetu. I kiedy analfabetka — po kursie nauczyłam się czytać i pisać — jesienią 1949 r., silna już tym, co liznęłam z broszur politycznych i z książki „Jak hartowała się stal" — na publicznym zebraniu, wystąpiłam z oskarżeniem: — To ty zabiłeś mojego ojca! Bo ty przechowujesz bandytów i jesteś ukrytym wrogiem Polski Ludowej i Partii!

Sprawę zbadano i okazało się, że Dobaczewski związany był jeszcze w okresie okupacji z AK (zastępca komendanta) i dalej prowadził ukrytą kontrrewolucję.

Dobaczewski był stróżem stawu na folwarku. Dał się przekabacić i zdradził fornali, zdradził lud i naród polski. A działał podstępnie, za parawanem tytułu komendanta ORMO. Sługus pański — zaprzaniec.

O, jakże głodna byłam wiedzy! I jak starałam się ten głód zaspokoić i wśród moich rówieśników. Założyłam koło ZMP. Przerobiliśmy życiorys tow. Stalina i tow. Bieruta, potem artykuły Lenina i Stalina o spółdzielczości... Czytaliśmy radzieckie powieści. „Jak hartowała się stal" i „Zorany ugór" umocniły w nas nieprzejednaną nienawiść do wroga i nieugiętą wolę do budowania nowego życia. W 1952 r. powstała spółdzielnia produkcyjna w naszej wsi. Jesienią cała wieś spłonęła. Wiatr czy wróg — jeszcze to wypłynie. Odremontowaliśmy stary dwór i 27 rodzin znalazło tu pomieszczenie, w tym roku nowe już stanęły domki i ci, co się rozproszyli, powrócili w większości. Nasza spółdzielnia ma charakter ogrodniczo-warzywniczy. Ja zostałam brygadzistką i prowadzę brygadę chmielarską. Kiedy się pobudujemy w całości — w dawnym dworze będzie Dom Kultury, przez nas wystawiony, Ośrodek Weterynaryjny, przedszkole i dzieciniec.

*

Tak jakoś będę opowiadać, a chłopcy i dziewczęta z różnych krajów, ze Związku Radzieckiego, z Korei, z Afryki, z krajów, gdzie stanął but amerykański, i z krajów, gdzie w wolności budujemy nowe życie — poznają naród polski i kraj polski w ziemi lubelskiej.

I łatwo zrozumieją, dlaczego to Lubelskie tak mocno i szeroko poszło w 1952 roku do organizowania spółdzielni produkcyjnych.

Wacław Palik

Czarne wiosny młodzieży tamtych lat

(Dokończenie ze str. 2)

społecznych na wsi) — ten podskórny nurt życia wsi i silny rytm zaciętej walki ukazany jest prawdziwie i przekonywająco. Natomiast obrazy walki klasowej proletariatu w książce Kłosowskiego nie zawsze są przekonywające, nie zawsze wywołują zamierzony efekt artystyczny. O ile scena demonstracji tłumu bezrobotnych przed ratuszem jest umiejętnie wpleciona w tok akcji, ściśle z nią powiązana, o tyle późniejsze sceny pochodu bezrobotnych i demonstracji ulicznych konstruowane są z pewnym pośpiechem, mają o wiele luźniejszy związek z akcją, wydają się nawet dość przypadkowe i wypadają słabiej pod względem artystycznym. Charakterystycznym przykładem takiego prawie sztucznie wmontowanego w akcję epizodu jest pochód bezrobotnych, którego opis zawiera wszystkie potrzebne dla charakterystyki demonstracji elementy („wstrząsający śpiew", „zagrzmiał bruk", „czerwony sztandar", „okrzyki", policja, płacz, kobiety itd.), ale obraz jest ogólnikowy, ukazany raczej od strony zewnętrznego opisu, brak w nim głębszej, wewnętrznej treści i siły.

Wydaje się, że to nagromadzenie pod koniec powieści momentów o jednym charakterze (obrazy walki proletariatu) bez ścisłego powiązania ich z akcją, bez dokładnego dopracowania artystycznego, zawiera w sobie niebezpieczeństwo natury ogólniejszej. Widoczna jest w całej powieści tendencja do zamknięcia w ramach jednego utworu możliwie największej ilości problemów, obrazów, zdarzeń.

Posłużmy się przykładem. Aby scharakteryzować Kawkę, sanacyjnego nauczyciela, wystarczyło go ukazać w życiu szkolnym, od strony jego stosunku do uczniów, ale autor chcąc go w świadomości czytelnika całkowicie „pogrążyć", dla uzupełnienia jego charakterystyki wplata jeszcze w akcję zupełnie nowy i odrębny wątek — romans Kawki z Kasią Dunajewską i śmierć zdradzonej przez niego dziewczyny.

Podobne elementy taniego sentymentalizmu zawierają te partie powieści, w których Franek występuje jako przyszły poeta (ilustracją jego spojrzenia na świat i jego wrażeń mają być „rzewne" zachwyty nad przyrodą).

Wśród walorów artystycznych na pierwszy plan wysuwa się trafny wybór narratora. Poznajemy świat poprzez pryzmat spojrzenia i uczuć Franka. Ale autor nie ogranicza się tylko do chodzenia krok w krok za swoim bohaterem i kiedy Franek nie wypowiada ostatecznego sądu o rzeczywistości — ta rzeczywistość ukazana jest w taki sposób, że jej obiektywny sens jest dostatecznie jasny i pozwala na jej słuszną ocenę. Trafny wybór narratora sprawił i to, że autor potrafił zamknąć w ramach powieści duży ładunek emocjonalny, Książka pisana jest z silnym uczuciowym zaangażowaniem, z ciepłem, które otacza całą rzeczywistość oglądaną oczami dziecka.

Książka Kłosowskiego ukazując walkę młodzieży przeciw panującym faszystowskim stosunkom, przypominając prawdę o czasach sanacyjnych w Polsce — uczy cenić wagę przełomu, jaki się dokonał: poprzez ukazanie „czarnej wiosny" życia Franka uczy cenić nasze spokojne wiosny i naszą szczęśliwą młodość.

Janina Dąbrowska

FRANCISZEK ZAWADA

Handlarze żywym towarem

OSTATNIA wojna zapędziła sporą ilość Polaków na Zachód Europy. Wielu z nich wywiózł hitlerowski okupant do oflagow i stalagów. Poprzez łapanki uliczne i różne arbeitsamty formował z nich kadry nowoczesnych niewolników. Setki tysięcy zginęło w obozach koncentracyjnych. A ci co przeżyli?... Przy pełnym poparciu amerykańskich władz okupacyjnych w Niemczech zachodnich reakcyjni macherzy polscy z Londynu robili wszystko, aby nie dopuścić do powrotu do kraju wielotysięcznej rzeszy polskich jeńców wojennych oraz więźniów, rzuconych przez los wojny na ziemie niemieckie.

Wbrew obrzydliwej, nie przebierającej w środkach, iście goebbelsowskiej propagandzie, wbrew terrorowi i zastraszeniu, tysiące naszych rodaków wróciły do wyzwolonej, ludowej ojczyzny. Część tylko uwierzyła w obietnice łatwego życia na obczyźnie, szerokich możliwości w brazylijskiej głuszy i w pustynnej Australii, w lesistej Kanadzie, a nade wszystko w kraju „miliona możliwości" — w USA. Emisariusze Andersa i hrabiego Raczkiewicza, Zarembów i Mikołajczyków szumnie i wzniośle nazwali tę akcję wyrzucania na poniewierkę tysięcy zdezorientowanych ludzi „zabezpieczeniem kadr narodowych".

A co mówią fakty? Sprowadzeni do Kanady Polacy, rekrutujący się z tzw. „dipisów", cierpią głód i bezrobocie, w najlepszym zaś razie harują za grosze przy karczowaniu lasów. Najgorszą pracę muszą brać zarówno ci bez wykształcenia jak i ci z wyższym wykształceniem, często wybitni fachowcy. A pan generał Sosnkowski z polecenia amerykańskiego banku Warburga kreowany ostatnio na nowego „prezydenta" emigracyjnej kliki kupuje sobie w tym czasie majątek ziemski w Kanadzie za „skromne osobiste oszczędności", jak to tłumaczył korespondentowi detroickiego „Dziennika Polskiego".

Mikołajczyk i jemu podobni czerpią pełną garścią dolary z amerykańskiego funduszu dywersji i sabotażu. W tym samym czasie wzmiankowany już detroicki „Dziennik Polski" tak pisze o jednym ze skupisk polskich wychodźców w USA: „Polacy w Hamtramck dosłownie głodują; można to łatwo sprawdzić na miejscu". A emigracyjne „Słowo katolickie" donosiło w początku ubiegłego roku, że „ponad 200 rodzin polskich z dziećmi błąka się po wielkim Nowym Jorku bez pracy, bez chleba". Bezrobotni inteligenci polscy wałęsają się po barakach dla bezdomnych w tym kraju „nieograniczonych możliwości". Giną oni tak jak profesor Stanisław Tarasiewicz, którego od śmierci głodowej w przytułku dla nędzarzy w Filadelfii nie uratowały ani cztery doktoraty, ani znajomość siedmiu języków. Giną jak Stefan Pigan, który dwuletnią gehennę poszukiwania pracy w Nowym Jorku zakończył samobójstwem podobnie, jak wielu innych zapędzonych za ocean Polaków.

Kiedy „pan prezydent" Zaleski wraz ze swoimi „ministrami" zgrywa się w londyńskim domu gry, nawet andersowski reportażysta zwiedzający pod koniec 1951 r. obozy „dipisów" musiał napisać: „W samym sercu Europy istnieją po dziś dzień rezerwaty półludzi, z którymi nie wiadomo co zrobić. Te kolonie dla trędowatych dawno przestały budzić zainteresowanie zawodowych filantropów i cwaniaków z międzynarodowych organizacji".

Polscy panowie z Londynu zdrowszych wychodźców sprzedali różnym amerykańskim, czy australijskim agrariuszom na podstawie masowo zawieranych przez „rząd" londyńskiej emigracji umów o dostawie taniej siły roboczej. Słabi zaś i chorzy, dziś już strzępy ludzi, wymierają w obozach w Niemczech zachodnich lub wypełniają przytułki dla nędzarzy w różnych krajach świata kapitalistycznego. Andersowski dziennikarz nazwał ich „trędowatymi", co w żargonie emigracyjnej „góry" oznacza: „na nich już nie zrobimy żadnego interesu".

Najzdrowszych i najsilniejszych wykorzystują dla odmiany w inny sposób. Jak Szaflarski, zapędzony jedną z owych umów o dostawie taniej siły roboczej za ocean, znalazł się w amerykańskim korpusie ekspedycyjnym na Korei. Ciężko ranny stał się kaleką na całe życie tylko dlatego, że zawierzył watażce Andersowi, który go skierował do walki na polach Korei o „nową ojczyznę".

W emigracyjnych polskich dziennikach ukazał się wszak oficjalny dział: „Straty polskie na Korei".

Z pozbawionych ojczyzny, otumanionych i bezradnych wychodźców emigracyjni macherzy zamierzają też montować oddziały wojskowe, które pod dowództwem hitlerowskich generałów miałyby zostać skierowane przeciwko Polsce. Innych szkoli się w dywersji i sabotażu, dając im na drogę fiolki z trucizną jako ostateczną zapłatę. Różnymi więc drogami i na różne sposoby zaprzedani dolarowi Andersowie i Mikołajczyki, Bieleccy i Ciołkosze włączają do swych kramikarskich kombinacji zdezorientowanych i sterroryzowanych wykolejeńców.

A jak traktują tych niewolników ci, którym służą? O przywódcach emigracyjnych pisał w lipcu 1952 r. w londyńskim „Nowym świecie" Cat Mackiewicz: „Traktują nas jak wyciśniętą cytrynę, rzuconą na śmietnik" Co więcej, za zabójstwo Polaka można najwyżej grzywną ukarać obywatela USA czy Kanady. Wypadek tego rodzaju miał miejsce w roku 1951 w Kanadzie, gdzie polski emigrant, Dorosz, został zastrzelony przez „gorliwego" przechodnia tylko dlatego, że odważył się mówić na ulicy po... polsku. Nie dziwmy się też, że gdy we francuskim półoficjalnym dzienniku „Le Monde" ukazał się cykl reportaży o wojskowych jednostkach amerykańskich, stacjonujących w portach Bordeaux i La Palice, można było tam przeczytać takie zdanie: „W wojsku tym służą biali, Murzyni i Polacy..." Pomyłka? Nie — to okrutna logika, stawiająca bezojczyźnianych nowoczesnych niewolników na najniższym szczeblu. To już nie biali ani Murzyni, ale niezwiązani z żadnym narodem żołdacy na służbie podpalaczy świata.

Oto jak wygląda owo „zabezpieczenie kadr narodowych" w praktyce prowodyrów polskiej emigracji.

We wrześniu 1951 roku mikołajczykowski „Narodowiec" maskując poczynania „pana prezesa" tak pisze o emigracyjnej „górze": „Wystarczy spojrzeć na ten długi łańcuch skandali finansowych, aby przekonać się o chorobie, trawiącej te koła, które chętnie narzucałyby się narodowi na przewodników. Za pieniądze kupuje się domy w Anglii i we Francji, kupuje domeny i pałace dla osobistego użytku i przyjaciół, jeździ się do drogich miejscowości kąpielowych i żyje wystawnie.

Dawniej w rządzonym przez siebie państwie wyprzedawała burżuazja gospodarkę narodową obcym kapitalistom, a miliony robotników i chłopów skazywała na nędzne bytowanie. Dziś, kiedy zwycięski lud pozbawił ją na zawsze władzy, majątków i fabryk, hut i pałaców, stanęła w kolejce po dolary czy funty sterlingi, usłużna w każdej robocie skierowanej przeciwko pokojowi i przeciwko Polsce Ludowej. Pan płaci, a sługa musi. Więc też i pogrążają się coraz bardziej w swej zdradzie i zaprzaństwie ci zwyrodniali wrogowie naszego narodu.

Franciszek Zawada



Kronika Radziecka

Popularyzacja historii literatury

Czytelnictwo w Polsce Ludowej osiągnęło niewątpliwie wielkie sukcesy, ale często jeszcze kierownik świetlicy na wsi jest bezradny otrzymawszy dzieło z ubiegłych stuleci bez żadnego komentarza, bez wstępu. Nie można liczyć na to, że każdy wiejski bibliotekarz stanowi chodzącą encyklopedię. Konieczne jest krytyczne opracowanie książki.

Jak to zagadnienie wygląda w Związku Radzieckim?

„Litieraturnaja gazieta" wystąpiła z wartościową inicjatywą wydawania masowej biblioteki historyczno-literackiej.

„Badacze literaccy i krytycy — pisze L. G. — powinni zaspokoić niebywale zwiększone zainteresowania masowego czytelnika dla zagadnień teorii i historii literatury. Zadanie niełatwe, ale musi być rozwiązane. Inaczej znajdziemy się w ogonie wydarzeń. W ciągu 35 lat w Związku powstało mnóstwo doświadczeń uzbieranych przez radziecką krytykę. Uogólnić to doświadczenie, uczynić je własnością szerokiej czytelniczej masy, wyszukując dla takiego celu najbardziej jasną poznawczą formę — oto nasze zadanie".

Biblioteka taka ma ukazać rozwój literatury rosyjskiej i radzieckiej na przykładzie najbardziej węzłowych zagadnień, ułatwi ona zrozumienie poszczególnego dzieła, wprowadzi w epokę pisarza.

Inicjatywa pożyteczna. Jej realizacja przyniesie krytyczny komentarz, konieczny do masowego rozpowszechniania dzieła.

Biblioteka im. Lenina

Największy księgozbiór świata — taki tytuł nosi szkic informacyjny N. Pietrowa o Bibliotece im. Wł. Lenina.

Wielu ludzi zna wielki piękny gmach, znajdujący się w Moskwie przy ulicy M. I. Kalinina. Przychodzą tu uczeni, pisarze, aspiranci, studenci, robotnicy i pracownicy biurowi. Przy stole ujrzeć można ludzi wielu narodowości. Często do biblioteki przychodzą delegacje różnych krajów, by zapoznać się z jedną z największych na świecie skarbnic kultury.

Biblioteka posiada kolosalne księgozbiory. Są tu książki wydane w 160 językach. Ilość tomów wzrasta z każdym dniem. Wystarczy powiedzieć, że codziennie nadchodzi tu około 1.000 nowych książek wydanych na terenie Kraju Rad i zagranicą. 1.000 numerów czasopism, przeszło 3.000 numerów gazet.

Biblioteka posiada 12 czytelni. Codziennie wydaje się tu przeszło 5 tysięcy książek.

W sali znajduje się specjalna wystawa na temat „Jak pracować z książką".

W gablotkach znajdują się porady dla nauczycieli, spisy zalecanej literatury z zakresu Konstytucji ZSRR, geografii, botaniki i innych przedmiotów.

Dział unikalnych książek i rękopisów — to jeden z najbardziej ciekawych w bibliotece. Przechowywane są tu wydania książek i gazet ubiegłych wieków, przedstawiające wielką wartość kulturalną i historyczną. Większość takich książek czytelnicy otrzymują w postaci taśmy filmowej. Tekst książki fotografuje się na taśmie, który czytelnicy „czytają" poprzez specjalny aparat. Przy pomocy mikroskopijnej taśmy przeczytać można wiele unikalnych wydań.

W bibliotece są również takie książki, które ukazały się na długo przed wynalezieniem druku. Zachowały się one w postaci manuskryptów (1092 rok). W dziale tym są rękopisy, pochodzące z późniejszego okresu. Wielu uczonych pracuje tu nad kronikami.

Jeżeli czytelnik potrzebuje dobrać literaturę na określony temat lub znaleźć źródło, z którego wzięto ten czy inny cytat, z pomocą przychodzą mu pracownicy biura informacyjno-bibliograficznego.

Przeszło 200 przesyłek z opaską odchodzi stąd codziennie do różnych zakątków Związku Radzieckiego. Książki wysyła się do Pietropawłowska na Kamczatkę, do Władywostoku, do Murmańska, Stalinabadu, Czity i innych miast. Biblioteka imienia W. I. Lenina współpracuje prawie ze wszystkimi wielkimi i małymi bibliotekami Związku Radzieckiego.

Książki dla dzieci

Największe na świecie Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej zostało utworzone w ZSRR. W kraju radzieckim wydano już ponad 1 miliard 100 milionów egzemplarzy książek dla dzieci — czterdzieści jeden tysięcy tytułów. Wydane zostały one w wielu językach narodów Związku Radzieckiego.

Co czternasta książka, wychodząca z radzieckiej drukarni przeznaczona jest dla dzieci. Nawet Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej, wydające największą ilość książek dla dorosłych, nie może dorównać nakładom wydawnictwa literatury dziecięcej.

W bieżącym roku dzieci radzieckie i młodzież szkolna Kraju Rad otrzymają 450 nowych książek, których nakład wyniesie 59 milionów egzemplarzy. Ponad 100 książek — to najlepsze utwory radzieckiej i zagranicznej literatury klasycznej, resztę stanowią utwory współczesnych autorów. Trudno wymienić taki temat, interesujący dziecko, który by nie znalazł swego odzwierciedlenia w planie. Historia Kraju Rad i nowe odkrycia techniki, fantazja i przygody, sport i sztuka, książki dla młodych techników i przyrodników, krajoznawców i geologów...

Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej współpracuje nie tylko z pisarzami, ale i z uczonymi, specjalistami wszelkich dziedzin. W planie jest również wiele artystycznych utworów na tematy interesujące dziś każdego ucznia radzieckiego: o dzieciach polskich, o bohaterach walczącej Korei, o walce o pokój marynarzy francuskich i wiele, wiele innych.

Obszerny jest plan Państwowego Wydawnictwa Literatury Dziecięcej, obszerne są również plany innych wydawnictw, dbających o lekturę dziecięcą. Tylko w języku ukraińskim wydanych zostanie w roku bieżącym ponad dziesięć milionów egzemplarzy książek dla młodych czytelników. Miliony książek zostanie wydanych w białoruskim, azerbejdżańskim, gruzińskim, kazachskim, łotewskim, ormiańskim i innych językach narodów ZSRR.

Grzegorz Timofiejew

ŚWIETLICA

Gospodarka i kultura-razem!

Zobowiązanie, jakie w gorącym okresie żniw realizuje zespół świetlicowy w Wielkim Bukowcu, pow. Stargard, woj. Gdańsk — stanowi przykład dobrej roboty kulturalnej. Zespół przygotował plan pracy, dostosowany do sytuacji, w jakiej znalazła się gmina tego lata.

Przewidziano wydanie specjalnego numeru gazetki, „wędrującej" z gromady do gromady. W numerze gruntowna analiza wykonania podjętych zobowiązań przez chłopów. Setki chłopów wczytywały się w tabele ilustrujące stan międzygromadzkiego współzawodnictwa. Do żniw wyszli chłopi, nie tak jak za dawnych lat, każdy sobie i po cichu, lecz wspólnie, z muzyką. Wieczorami, po pracowitych dniach zespół niestrudzenie urządzał wieczornice, a nocami przygotowywał nadzwyczajne wydania gazetki. Niezależnie od roboty ściśle kulturalnej, zorganizowano grupę agitatorów, którzy w czasie żniw zapoznali chłopów z osiągnięciami okolicznych spółdzielni.

Filarami zespołu są — sam sołtys B. Komorowski, prezes KG ZSCh— Czubek, przewodnicząca Koła ZMP — B. Kosecka i przew. Koła Gospodyń — G. Błaszkowa, a więc w większości ludzie starsi i co godne podkreślenia — bardzo zajęci w okresie żniw.

W tym właśnie fakcie niechże znajdą działacze wiejscy wzór dla siebie i krytykę własnej praktyki, jakże często odmiennej.

Wielu bowiem naszych działaczy terenowych uważa, że kultura owszem — rzecz dobra, ale... w zimie, a nie w okresie żniw. Ilu działaczy staje się mimo woli wrogami pracy kulturalnej w czasie każdej akcji gospodarczej, jak — skupu, przeciwstonkowej, siewów, kontraktacji itd.

A o czym mówi nam przykład Wielkiego Bukowca? Że właśnie ludzie odpowiedzialni za wykonanie akcji gospodarczych nie o każdej porze podczas żniw wyjmują grajkom skrzypce z rąk, aby wetknąć kosy. Sołtys Komorowski pracował na żniwiarce, ale ani przez chwilę nie zapomniał o tym, że ma deklamować bojowe wiersze i sporządzać komunikaty współzawodnictwa w gminie. Błaszkowa uwijała się przy narzucaniu snopków — to prawda, ale bumelantów i niedorajdów chłopskich piętnowała w gazetce i na wieczornicach.

Aktyw świetlicowy w Wielkim Bukowcu wypełnił w okresie żniw zadanie, jakie na froncie wojennym pełni Wydział Polityczno-Wykonawczy. Mobilizował do pracy i z trudu i dorobku pracy wydobywał wartości, podnoszące świadomość polityczną gromady.

A że jest to równocześnie aktyw gospodarczy, zatem działacze gospodarczy... nie szukajcie już żadnego ale.

P. P.

Rybacki zespół świetlicowy

JADĄC do Łysinina, przodującego na Pałukach pegeeru rybackiego, mijamy wiejskie zagrody, pogrążone w ciszy południa.

W repertuarze świetliczan z Łysinina znajdujemy takie pozycje, jak „przodek", charakterystyczny



dla tych okolic, taniec pałucki, czy „chodzony" — korowód żniwny w snopkach. Nie brak również znanego w okolicy „Mikołajka", wykonywanego przez dzieci szkolne, które pozostają w najściślejszym związku ze świetlicą PGR i kształcą się artystycznie wraz z rybackim zespołem świetlicowym.

Na pytanie, jak ustosunkowuje się dyrekcja PGR do pracy świetlicowej, czy ją popiera i przychodzi aktywowi z pomocą, chór głosów stwierdza jednomyślnie, że dyrektor to „swój człowiek", pewnie dlatego, że sam do niedawna był rybakiem, zna więc doskonale pracę i ludzi.. No, a poza tym posiada niezwykłe walory pedagogiczne i dużo wiedzy teoretycznej i praktycznej.

— Najgorliwszy czytelnik naszej biblioteki z zadowoleniem podkreśla biblioterka. A obok tego zapalony organizator wycieczek krajoznawczych...

Nie brak go przy najtrudniejszych, najbardziej odpowiedzialnych pracach. Sam świeci przykładem innym!

— Dobry fachowiec i dobry kolega! Tu tkwi powód, dla którego wszyscy go szanujemy! — zamyka dyskusję o dyrektorze Zygmuncie Zaleskim, brygadzista Antoni Żarecki, sam wieloletni praktyk i fachowiec.

Tak zwykle bywa, że tam, gdzie dobrze pracuje świetlica, równie dobrze idzie produkcja, należy sądzić, że dożynki będą z obu względów naprawdę udane!

Halina Filutowicz

Wśród korespondencji



„Grzech" — St. Żeromskiego w wykonaniu zespołu teatralnego w Żerkowie.

Wspaniale ale...

W powiecie Jarocin znajduje się miasteczko Żerków. Liczy ono 1500 mieszkańców i posiada teatr, jakiego pozazdrościć mogłoby mu wiele miast powiatowych, a nawet jeszcze większych. Zamieszczone zdjęcia wymownie dowodzą wysokiego poziomu reżyserii, gry aktorów, sztuki dekoracyjnej i jakości repertuaru. W Żerkowie grano Fredrę, Zapolską i Żeromskiego „Grzech". Powtarzamy — 1500 ludności i taki teatr! Prawie nie do wiary — jest to teatr amatorski. Utrwalił się od 3 lat w składzie 30 osób. I maszeruje od sukcesu do sukcesu. Jego też zasługą jest wzniesienie budynku teatralnego (z funduszu zebranego z przedstawień). „Jesteśmy od wiosny wreszcie u siebie"—pisze kierownik zespołu, Mieczysław Domagalski.

Teatr w Żerkowie zasługuje na uwagę wysokich czynników w polityce teatralnej.

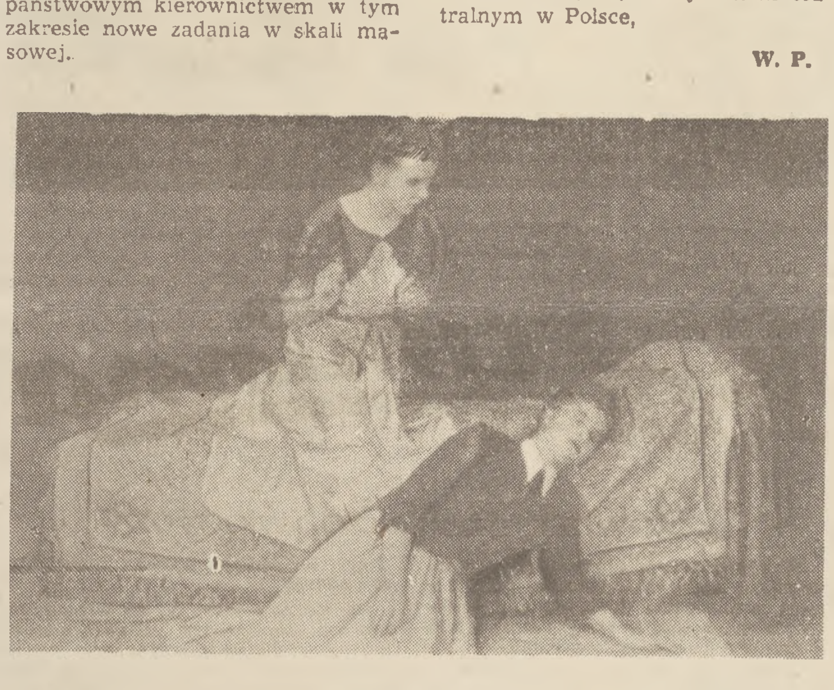
Po 1) bowiem dowodzi jak dalece pogłębia się i rozwija ruch teatralny na głębokiej prowincji. Najbardziej dbałe i nieustępujące zawodowym zespołom przedstawienia—na przykładzie Żerkowa — stawiają przed państwowym kierownictwem w tym zakresie nowe zadania w skali masowej.

TEATR

Po 2) sukcesy Żerkowa wskazują na potrzebę pomocy w wytyczaniu linii repertuarowej, którą zespoły terenowe rozwijają spontanicznie. A co to w praktyce oznacza? I tu przykładem może być Żerków. Jego zespół powstał w ramach ZSCh. 1500 mieszkańców to pół osada — pół wieś, obywatele—rolnicy, ogrodnicy. Kierownik zespołu, Domagalski, wyznaje, że wiele dały zespołowi do myślenia pierwsze wyjazdy w teren. Przyjęcie entuzjastyczne z jakim spotkali się na wsiach zawdzięczają wysokiemu poziomowi przedstawień. Oczarowały one chłopów mimo trudności i obcości problematyki sztuk. Zespół sam wyciąga wniosek. Trzeba więcej jeździć do Orzechowa, PGR — Chociąża, Przybysław, ale z repertuarem współczesnym i bliższym tematycznie wsi. W tym kierunku trzeba ustawić i repertuar i pracę ideologiczną zespołu.

Jest zatem nad czym pomyśleć średnim i wyższym czynnikom teatralnym w Polsce,

W. P.



„Zabusia" G. Zapolskiej w wykonaniu zespołu teatralnego w Żerkowie.

„Opoczynianka"

W 1950 roku powstała na terenie powiatu opoczyńskiego spółdzielnia przemysłu ludowego. Prowadziła „Opoczynianka" skup tkanin i haftów, sprawowała opiekę nad ludową wytwórczością organizując pomocnicze zakłady takie jak gremplarnię i przędzalnię, które ułatwiały sam proces produkcji tkanin. Zrzeszyła 123 dawnych chałupniczek z okolicznych wsi — małorolne chłopki. Ubrały one w swe barwne wełniaki do oberka opoczyńskiego Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze" — Sygietyński, zbierał wśród tkaczek melodie starych pieśni ludowych. Niejedna z dumą opowiada o wyjazdach do Karolina, gdzie uczyły swych pieśni i tańców reprezentacyjny zespół ludowy.

W świetlicy „Opoczynianki" jest zawsze ciasno. Wieczorami skupia się tu młodzież mieszkająca w odległych nawet o 15 km wsiach, tak wielka jest siła przyciągania dobrze pracującej placówki. Świetlica Opoczyńska i jej zespół artystyczny otrzymał na eliminacjach przedfestiwalowych w Warszawie pierwsze miejsce za opracowanie „Wesela Opoczyńskiego" oraz nagrodę w wysokości 30 tys. zł. na budowę nowej, obszernej świetlicy.

Ale wspaniałe osiągnięcia na polu pracy świetlicowej nie powin-



ny nam przesłonić braków w pracy samej spółdzielni, braków krzywdzących aktywne działaczki kulturalne.

Żalą się one na przepełnione magazyny w Opocznie. Leżą tam całe stosy samodziałów, narzut, i ręczników zdobnych w „koziołki" — tradycyjny wzór opoczyński. Tak sobie poczyna ze zbytem ludowych wyrobów Rejonowe Biuro Handlo-

SZTUKA LUDOWA

we, które nie orientuje się zupełnie w bogatych możliwościach artystycznych terenu, a nie doceniając roli sztuki ludowej, nie znajduje sposobów dla zastosowania jej dla celów Instytutu Wzornictwa Przemysłowego w seryjnej produkcji przemysłowej. Powstał więc zastój, który stać się może katastrofalny w swoich skutkach dla spółdzielni — tak żywej dotąd placówki.

Ludowe twórczynie — kobiety z okolic Drzewicy i innych bardziej odległych ośrodków tkackich powiatu opoczyńskiego, które z takim zapałem organizują życie kulturalne w terenie nadając mu regionalny charakter, zasługują na pomoc w rozwoju ich ludowej sztuki.

Aniela Daszewska

Jadę do Bukaresztu

Zostałem wybrany na IV Festiwal Młodzieży i Studentów w Bukareszcie. Z tego niezwykłego wyróżnienia jestem nie tylko dumny. Wyróżnienie to zobowiązuje mnie do podwajania wysiłków w pracy i walce.

Jestem synem małorolnego chłopa z ziemi kieleckiej. Do 9 roku życia nie uczęszczałem do szkoły. Na pasionkach i przy ciężkiej robocie we wsi Oblassy, pow. Kozienice sterałem dziecine lata. A gdy później poszedłem do szkoły na ukończenie nie pozwoliły warunki materialne. W domu było 11-ro rodzeństwa, musiałem pójść na odrobkowanie i niemal bandoskie życie. Oto co „zawdzięczam" władzy sanacyjnej.

Dziś, za władzy ludowej, moi bracia i siostry otrzymali pracę w przemyśle, PGR i w administracji. Ja mogłem ukończyć szkołę podstawową w r. 1949-50. Ale tym się nie zadowoliłem. Wstąpiłem do technikum Hutniczego w Dąbrowie Górniczej — na wydział — Wielkie Piece. Pragnę bowiem pracować przy Wielkich Piecach Nowej Huty które będą gorejącym sercem polskiego przemysłu.

Delegatom z całego świata opowiem w Bukareszcie o życiu młodych hutników, górników, elektrotechników, traktorzystów, spółdzielców i młodzieży chłopskiej z gospodarstw indywidualnych. Opowiem jak żyłem przed wojną i podczas okupacji, a jak żyję, pracuję i walczę teraz.

Z najgłębszym wzruszeniem uścisnę bratnią dłoń delegatom — Komsomolcom, oraz delegatom z bohaterskiej i zwycięskiej Korei, która staje dziś u progu wielkiej odbudowy i budowy nowego życia. Delegatom z Indii i Wietnamu, Francji i Włoch, Anglii i obu Ameryk powiem w imieniu naszej młodzieży: nie ustawajcie ani na chwilę, aby walczyć ramię przy ramieniu z nami o pokój i szczęście młodego pokolenia.

Po powrocie opowiem kolegom z technikum, kolegom i znajomym z rodzinnej wioski o wielu krajach i ludziach wielu narodów, których łączy najwyższy cel: pokój i szczęśliwe jutro ludzkości.

Bogdan Szczepanek

Argumenty agitacji terenowej

Trafiłem na bardzo ciekawy przykład agitacji za przyspieszeniem dostaw na planowy skup zboża. Agitatorem — kierownik Szkoły Drzewnej w Rokicinach, Józef Feja. Na zebraniach gromadzkich w gm. Łaznów zasadza chłopów do następujących obliczeń:

1) Ile klasa robotnicza w Łodzi potrzebuje dziennie chleba? Chłopi rachują! 600.000 (ludności) × 500 gr, (na osobę) = 350 ton żyta.

2) Ile gmina Łaznów ma dostarczyć na skup zboża? A no — 300 ton. Patrzajta, ludzie, z całej gminy starczy tylko na jeden dzień dla Łodzi, a ile w Polsce miast?

— Jak więc będzie z terminami odstawy?

— Honorowa sprawa, nie ma co. Pospieszymy i przypilnujemy opieszałych.

Cóż w tym przykładzie uderza? Konkretność agitacji. Wysuwanie argumentu lokalnego, który ma plastyczną wymowę w danym terenie. Gmina Łaznów leży bowiem w powiecie brzezińskim, tuż pod bokiem Łodzi. Jest to gmina średniaków, dobrych gospodarzy, którym za dawnych lat „z oczu i sumienia znikała biedota, wędrując do Łodzi lub na folwarki. Z tej racji niełatwo tutaj uświadamiał się chłopom sojusz robotniczo - chłopski. Nie było na kim oprzeć się partii. Umacniał się zaścianek gospodarzy, którzy nawet jeżdżąc do Łodzi widzieli tam sklepy, a nie dostrzegali fabryk i swoich braci, skazanych na los proletariatu.

Od 9 lat średniacy łaznowscy zadzierzgnęli nowe i silne związki z Łodzią. Nie tylko przez rynek. Zawiązali je przez szkoły na miejscu — handlową i drzewną w Rokicinach. Któż bo obdarzył ich gminę? Rada Wojewódzka, robotnicy z Łodzi. A szkoły to wypuściły już absolwentów, handlowa — 200, drzewna — 100. Do Łodzi pędzą ich synowie na wyższe uczelnie jak w dym, do fabryk włókienniczych poszło wielu z rodzin wielodzietnych. Nie na zatracenie, jak dawniej, ale na robotników, którzy teraz rządzą i gospodarzą.

Oto nerw, czuły w świadomości średniaków łaznowskich. Należy go ożywić w agitacji, nie tylko na zebraniach, również przez radiowęzeł, który obejmuje 3.000 abonentów. Wyobraźcie sobie listę pół tysiąca nazwisk. O każde z nich można zawadzić imiennie. Np. ob. Trela! Wasz syn po szkole drzewnej bije już rekordy w Wołominie, pozostaniecie to w tyle przy odstawie zboża na skup? Np. ob. Wachowiec! Wasza córka Alina po szkole handlowej pracuje w GS, uważajcie,

AKTYWIŚCI

aby Was nie zawstydziła „urzędowo" itd. itd...

Do Łodzi jeździły z gminy Łaznów wycieczki starych chłopów, członków dobrze pracujących komitetów rodzicielskich. Komitety te nie tylko bywały w teatrach łódzkich, ale same wystawiały na wsiach sztuki Fredry i adaptacje powieści Orzeszkowej. Komitety rodzicielskie sta-



nowią dużą siłę społeczną. Ich członkowie widzą przyszłość naszej ojczyzny opartą na dobrobycie i kulturze. Oto wielki krąg agitatorów.

Sławna stała się w łaznowskiej gminie powieść Newerlego „Pamiątka z Celulozy".

Wpłynął na to nie w małym stopniu fakt, że jedna z postaci powieści, bohaterski robotnik Marusik Maciej, to brat rodzony Władysława Marusika, znanego hodowcy i przodownika rolnictwa, średniaka z Rokicin. Władysław Marusik ogłosił list (w Gazetce we „Wsi") pt. „Wyznanie średniaka", w którym pisze, że bohaterska droga walki brata „każe mu patrzyć dalej i budzi zapał, aby iść dalej. Do czego Was wzywam, obywatele, a osobliwie was koledzy — średniacy!"

Oto kilka przykładów, które ukazują, jak we wszelkiej pracy agitacyjnej, a więc także w agitacji za skupem, można i należy szukać **faktów i argumentów terenowych,** przemawiających najbardziej wymownie **w warunkach lokalnych.**

W. P.

Potrzeba nowych korespondentów

Pisaliśmy niedawno w „Gazetce Gminnej" o zgranej klice oszustów i wydrwigroszy w GS w Opolu Włodawskim. Nasza nota dotyczyła jedynie działalności kliki kumotrów na terenie Gminnej Spółdzielni. Co oni zacz — poza GS tego — prawdę mówiąc — nie wiedzieliśmy. Chłopi? Czy może „zawodowi" urzędnicy? Jeżeli chłopi — to co u nich z gospodarką, jak np. wywiązują się z dostaw dla państwa?

Odpowiedź, jaką otrzymaliśmy od rozszerzonego Zarządu GS i Gminnej Rady Spółdzielczej, jest wysoce charakterystyczna. Nie chodzi o to, że nasze „zarzuty po dokonaniu głębszej analizy zostały potwierdzone i okazało się, że dalsza praca tej kliki zagrażałaby rozwojowi spółdzielni". Można się bez trudu domyśleć reszty. Kumotrów wyrzucono.

I nawet nie to jest najważniejsze, że prasie ludowej przybędzie najprawdopodobniej nowy korespondent. Nie znamy go jeszcze, gdyż bał się ujawnić nazwiska, kiedy donosił nam o złodziejstwach, dokonywanych przez część pracowników GS. Być może nie bardzo wierzył w skuteczność swojej interwencji. Dziś odczuwa zapewne wiele radości, widząc, że atmosfera oczyściła się. I dlatego — należy przypuszczać — będzie odtąd występował z otwartą przyłbicą.

Chcielibyśmy jednak zwrócić uwagę z racji wypadków w Opolu Włodawskim na inną, bardzo ważną sprawę.

Któż to taki — ***ów zbiorowy autor listu*** — rozszerzony zarząd GS i Gminna Rada Spółdzielcza. Nikt inny jak grupa kilkunastu energicznych aktywistów terenowych. Aktyw ten, pod wpływem słusznej oczywiście, lecz niepełnej noty, rozpoczął szeroką akcję demaskowania kliki złodziei mienia społecznego. Ale aktywiści z Opola Włodawskiego przysłali nam niestety suchy urzędniczy list. Zaginął w nim nieomalże obraz przebiegu i taktyki politycznej walki o uregulowanie stosunków na odcinku wymiany w gminie.

Coś jednak w liście pozostało. Księgowy Kusiuk Franciszek obiecywał zlikwidować i Zarząd GS i radę, a ostatecznie udowodniono mu nie tylko nieuczciwość w Gminnej Spółdzielni. Kusiuk to także oporny chłop, który „zawalał" regularnie plan skupu i kontraktacji. Podobnie inni członkowie „rodzinki". Po nitce do kłębka, od zbadania przyczyn tajemniczego zniknięcia koców i rowerów, doszedł aktyw do spraw ogólnie gromadzkich, najżywotniejszych interesów naszego państwa.

Sprawdzanie słusznej korespondencji w terenie przez aktyw skupiony w takich instytucjach, jak GRN i GS **to dalszy ciąg listu** do redakcji. Tylko, że pierwszą jego część pisze pojedyńczy chłop, często jeszcze anonimowy, **a drugą — kolektyw gminnych działaczy**. Sęk w tym właśnie, żeby tej drugiej części listu nie zmarnować w „urzędowych" sformułowaniach. „Wyżej wymienieni zostali pociągnięci po linii MO i już ich nie ma". Tyle.

Instytucje, skupiające najbardziej wartościowy aktyw, występujący wspólnie do walki, tak jak to było w wypadku likwidowania kliki w Opolu Włodawskim — powinny mieć swoich korespondentów. Pracy i walki naszego aktywu nie można zbyć jednym zdaniem. Jakże się bowiem z niego będą uczyć walki politycznej gromadzcy aktywiści.

W. J.



O czasopismach w czasie żniw

CZĘSTO słyszy się, ba i czyta, że w okresie letnim spada czytelnictwo prasy na wsi. Posłuchajmy, co na ten temat pisze jeden z naszych korespondentów — pracownik PGR. „Nasi listonosze agencji pocztowej w Ostrowcu w powiecie Sławno podjęli długofalowe zobowiązanie w prenumeracie gazet. Do końca roku zobowiązali się wykonać przeciętnie 150% normy rocznej w prenumeracie czasopism. Takich listonoszy jak Grabowski Zygmunt i Bobis Mieczysław winni naśladować inni listonosze z agencji pocztowych w pow. Sławno. Wezwali oni do współzawodnictwa wszystkich listonoszy.

Plan gazet na lipiec mieli 688 egzemplarzy a zaprenumerowali 930 egzemplarzy, na miesiąc sierpień zaprenumerowali już 951 egzemplarzy, mimo że plan mieli taki sam jak w lipcu".

Okazuje się, że na terenie pow. Sławno czytelnictwo prasy w okresie letnim nie spada wcale lecz podnosi się. Pomyślne to zjawisko nasz korespondent interpretuje jednak jednostronnie. Widzi tylko — nie przeczymy — cenną i ważną a często nawet decydującą pracę listonoszy. Ale przecież wzrost poczytności prasy na wsi w okresie tak wielkiego nasilenia robót polnych dowodzi, że gazeta stała się codziennym towarzyszem chłopa — pomocą w pracy, orężem w walce, kierownikiem i nauczycielem w sprawach politycznych. Dojdźmy więc po sznurku do kłębka! Jaki udział pracy aktywu gromad, spółdzielni i PGR-ów zdecydował o tak wielkim wzroście poczytności prasy w powiecie Sławno? Dowodzi ona, że aktyw zrozumiał, iż w okresie walki o plony całorocznej pracy trzeba wzmocnić świadomość obywatelską chłopa, zacieśnić sojusz robotniczo - chłopski i dlatego sięgnął do prasy jako skutecznego oręża w tej równoległej do gospodarczej, politycznej kampanii, ale w liście Franciszka Śniega nie ma o tym ani słowa. A szkoda — jako pracownik PGR ma duże pole obserwacji. Wzywamy więc — porzućcie administracyjno - sprawozdawczy punkt widzenia na sprawy czytelnictwa prasy w terenie, a ujrzycie za cyframi ludzi, problemy i walkę. I wtedy napiszcie, jak i w czym umacnia ją politycznie prasa,

Z. S.

Słaba praca aktywu

Korespondent Józef Wenek z Łukowa k. Biłgoraja nadsyła „Wsi" sporo szczegółów z życia gromad w Biłgorajskiem.

Po pierwsze — słabo pracują na wsi biłgorajskiej aktywiści gromadzcy. Nie wszyscy oni umieją dyskutować z ludźmi, uświadamiać ich, zjednywać sobie słuchaczy.

Chłop z uwagą wsłuchuje się w dowodzenia, nacechowane życzliwością dla niego, a troską o dobro kraju. Ale działaczy, którzy by w taki sposób do chłopów przemawiali, w Biłgorajskiem — jak ocenia korespondent — spotyka się wciąż za mało. Wykorzystuje to wróg i rozpowszechnia różne plotki, mnożąc liczbę „Sykowiaków". To po pierwsze.

Po drugie — w aparacie administracyjnym pow. biłgorajskiego nie brak kacyków z dawnej administracji. Ich typowo biurokratyczny stosunek do chłopów i nierozróżnianie biedniaka od kułaka wywołuje u ludzi rozgoryczenie i sarkanie.

Po trzecie — słabo wygląda w Biłgorajskiem szkolenie ideologiczne. Nie ma ono charakteru masowego, mimo że takie właśnie szkolenie jest tam bardzo potrzebne.

Przytoczone wyżej sygnały — choć nie mogą być uogólniane — są wymowne. W niektórych miejscowościach powiatu biłgorajskiego praca uświadamiająca jest stanowczo niedostateczna. Kadry urzędnicze w radach i GS dużo pozostawiają do życzenia.

W pow. biłgorajskiem pracę polityczno - społeczną trzeba więc rozwinąć. Do tego potrzebni są ludzie świadomi prawdy, że najlepsze rezultaty daje praca nacechowana prágnieniem zbliżenia się do mas, uczenia ich i uczenia się od nich.

Takich ludzi należy w Biłgorajskiem szukać i powierzać im wykonanie ważnych społecznie zadań.

Z. S.



rys. H. Krajnik

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

TYPOWANIE PRZODOWNIKÓW*)

Trzecie zebranie w sprawie typowania przodowników na czas skupu! Jakże się pięknie zaczęło!

Gdybyśmy mogli słyszeć przewodniczącego GRN ob. Zasuwkę wzywającego do czujności wobec istnego najazdu przedstawicieli prasy, radia i Związku Literatów na gminę Lustro! Jego okazała postać na tle obdrapanych ścian restauracji pana Zapłatki wyglądała — co tu dużo mówić — imponująco.

Albo niezmiernie doniosła wypowiedź ob. Mordeczki, prezesa gminnego koła ZSCh, świadczącą o tym, że czego jak czego, ale czujności zebranym nie brak.

— Ten czarny z prasy wypytywał mnie o przodujących chłopów, a tu lista jeszcze nie gotowa, trza się spieszyć, kochani!

Ob. Samson, prezes GS:

— Tego roku to i literaci zmądrzeli! Zawsze się taki pytał o piękne widoki, bo fabułę — to powiada — mam już, tylko mi tła lokalnego brak, a teraz? Jak tam z zaopatrzeniem na okres żniwny było? Pokazałem mu pełny magazyn, dobrze, że o sklepy nie zawadził.

— A mnie radio o biurokratów wypytywało i szkodników. Odesłałem ich do sąsiedniej gminy — zaśmiewał się sekretarz GRN, ob. Pszczółko.

— A swoją drogą zawsze mówiłem, że nasza gmina za blisko Łodzi leży. Jak tylko nadejdzie skup, zleci się tych wścibskich, że ani się opędzić — stwierdził referent CUSiK, ob. Stokrotka.

Zebranie odbywało się zgodnie z tradycją, zaraz po żniwach i toczyło się — jak widzicie — w pogodnej atmosferze. W idealnej wprost zgodzie wytypowano dwóch pierwszych przodowników w skupie. Wystarczył wniosek Stokrotki.

— Panowie, tylko bez kawałów, według kolejki mnie się należy tego roku przodować i Samsonowi. Ziemi to ja nie posiadam, ale i Zasuwka nie miał, a przecież przodował na 150 procent w zbożu.

Sprawa była jasna jak słońce. Pszczółka zrobi ze Stokrotki średniaka, nie takich dokazywał czynów.

— Będziesz pasował dla tego literata, co szuka bohatera z komplikacjami, a Samson w sam raz dla radia, bo ma ładny bas. Ino żebyś — bucu — nie zapomniał pobasować na cały kraj o naszych zasługach, bo to ani chybi twój bas przez radiowęzeł poleci — zawyrokował Zasuwka.

Pewne trudności powstały przy typowaniu dwóch następnych przodowników. Każdy zachwalał swoich krewniaków, Ale i tym razem Zasuwka okazał się niezrównany.

— Niech sekretarz weźmie, dajmy na to, setnego i pięćsetnego chłopa ze spisu i kwita! Co się będziem kłócić!

Zebrani przyjęli wniosek jednogłośnie. Popadło na Bakę i Czyżyka. Wybór nie mógł się obejść bez komentarza.

— Aż dziw bierze, że to akurat krewniak Pszczółki, no i mój — Zasuwka mówił to z niesłychaną powagą — widać takie zrządzenie losu jednogłośnie, powtarzam — jednogłośnie przyjęte na dzisiejszym zebraniu. Ale martwić się nie trzeba, bo to nie są dwie różne rodziny. Czyżyki to krewniaki Baków, a ci to moi krewni. A my znowu przez linię żeńską związani jesteśmy krwią z Pszczółkami.

— Pszczółki w ten sam sposób ze Stokrotkami, te znowu z Samsonami, co tu cplatać — wszyscyśmy rodzina — zakończył Pszczółko.

Przodownicy zostali wytypowani. I właśnie w tym najradośniejszym momencie, kiedy to na stole złocił się litr „Starowinu", zieleniły pysznie kiszone ogórki, nieodżałowana specjalność domu Zapłatków — zaszły niespodziewane wypadki.

Nim się jednak o nich dowiecie, należy powrócić do porannych godzin tego samego dnia, kiedy to ob. Zasuwce śnił się order, a ambitny Samson czytał książkę, w której on — prezes GS, występował jako główny bohater.

Wtedy to długi sznur 120 furmanek zajechał przed magazyn zbożowy, leżący jakieś 2 km od gromady Lustro. Grała wesoło kapela, grał wiatr we flagach i transparentach. Na czele jechał sołtys z Bliinów — Curzytek, straszny nerwus, ale dobry chłop, za nim sekretarz KG — Korejba, czerwony z emocji jak burak.

Kapela nie dość jeszcze zgrana, gdyż każdy spośród 20 grajków pochodził albo z innej gromady, albo, jak to mówią — z końca wsi, mogłaby zbudzić i umarłego, a cóż dopiero magazyniera ob. Woreczka. Stanął tedy półsenny w drzwiach, nie bardzo wiedzący, co się dzieje.

— Ej, śpiąca królewno, dawaj wagę, zboże przywieźlim — rozdarł się zawsze prędki Curzytek i już taszczy wór zboża na rampę.

— Coście się powściekali? Tylu wariatów na raz i jeszcze orkiestra, toć przewodniczący jeszcze mi **przodowników** nie przysłał. Oni mają pierwsi odstawiać!

— Korejba, rzeknijcie mu coś, bo mnie już cholera ciska, wiecie, żem raptusowy, nie strzymam i jeszcze się współzawodnictwo nie uda, bo magazynier trup.

Jeżeli Curzytek — ogień, to Korejba akurat — woda. Spokojnie, zdanie po zdaniu, rozpoczął konferencję z Woreczkiem.

— Przodownicy, to właśnie my, większość gminy, sami się w robocie typujemy. O co wam idzie?

Woreczek wciąż jeszcze nie ustępował.

— A no, co to, to nie wiem? Można i tak **oddolnie.** Ale władz tu żadnych nie ma, ino same chłopy. Co to za manifestacja bez **czynników?**

Trafił jednak na nielada gracza. Korejba stanął na wozie i huknął:

— Sołtysi som?

Dwanaście potężnych łap podniosło się do góry.

— No widzicie, władza ze wszystkich gromad przybyła. Samopomoc jest?

— Cała, ino prezesa nie ma, ale zarząd w komplecie i członkowie!

— I Koło Gospodyń — zapiszczała Kulebiaczka z Gołąbków.

Ale, jak to często bywa, kiedy się ktoś o niesłuszne prawuje, chłopi zniecierpliwili się. Posypały się okrzyki.

— Wody mu na łeb! Portki spuścić śpiącej królewnie i przyłożyć a tęgo, to sobie dzisiejszy dzień zapamięta!

— Ludzi do odbioru nie mam, kto będzie ważył, zapisywał, układał — próbował jeszcze bronić się Woreczek.

Curzytek z największym wysiłkiem opanował się i jak mógł łagodnie, tak też powiedział:

— A co to gamoniu, pierwszy raz do skupu jeździem? Mamy komisję, brygadę roboczą i pas na twoją...

— No to do wag — splunął w ręce Woreczek. Zwyciężył w nim uczciwy człowiek, a może zmienił zdanie pod wpływem groźnego spojrzenia żony, którą niespodziewanie dostrzegł na czwartej furmance.

Orkiestra zagrała dziarskiego marsza, ale coraz jakiś instrument milkł, jego właściciel zrzucał z pleców ciężkie wory z ziarnem. Został w końcu tylko bęben, na którym do końca przygrywał Spodzieja, wesoły, bezrolny staruszek, który nie opuścił jeszcze ani jednej manifestacji. Jego to donośny instrument usłyszał z daleka prezes Mordeczko i przerażony wykrzyknął do zebranych.

— Spodzieja gra, chłopy, gdzieś manifestują!

Zasuwce uwiązł w gardle starannie przemyślany toast „Ja ci buzi dam, ty mi buzi dasz, ja cię nie wydom, ty mnie nie wydosz". Skoczyli do okien.

— Może to nic strasznego, bo wozy puste — próbował pocieszać się Pszczółko.

— Cie cholera, cała samopomoc wali beze mnie z transparentem. Ludzie, czekajcie, ja wasz prezes, ja z wami — wykrzyknął dramatycznie Mordeczko i skoczył między wozy. Za nim Zasuwka dzierżąc ogórka w ręce, specjalność interesu Zapłatków, oraz dwaj przodownicy — Samson i Stokrotka.

Jeden tylko Pszczółka, człowiek realistyczny, zdał sobie szybko sprawę z sytuacji. Pozostał tedy na miejscu i pił na umór pogadując do Zapłatki.

— Felek, kogo pierw zlikwidują, nas, czy ciebie?

Wiesław Jażdżyński

*) Z tomu satyrycznych opowiadań, przygotowanych do druku.

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

F R A S Z K I

WZOROWY SĄSIAD

Dziwił się bogacz bardzo, gdy mu oświadczono,
że sąsiad jego czeka na sąsiedzką pomoc.
Przecież jestem od dawna tej pomocy wzorem,
wszak tylko sześć odrobku za dzień orki biorę.

O WESELACH

Bogaczka wyprawiła huczne weselisko,
a w podatkach zalega pięć tysięcy blisko.
Powiada — zaczekajcie, toć i ja się zmienię,
kiedy wydam jeszcze dwie córki i syna ożenię.

MIŁOŚĆ BLIŹNIEGO

Sołtys, który się długo z kułakami kumał,
gdy go zdjęli z urzędu, zaczął sobie dumać:
Przecież i bogacz człowiek, a więc w imię czego
ukarany zostałem za miłość bliźniego?...

W NASZEJ GMINIE JAK W RODZINIE

W naszej gminie żyjemy jak jedna rodzina —
szczycił się prezes Chwacki przed nadrzędną władzą,
lecz władza nad głosami z owej gminy radząc
dojrzała, gdzie takiego faktu jest przyczyna.

Brat prezesa najmłodszy, kierownik resztówki,
szwagier agronom — syn zaś zarządza mleczarnią,
siostra sklepowa — bratowa prowadzi stołówkę —
wszyscy się do prezesa jak do ojca garną —

żali się były prezes na takie oszczerstwo. —
Jak można o rodzince mówić: „kumoterstwo"?...



Gazelka gminna

Na wąskiej drodze

Lekkomyślni pradziadkowie, którzy zamieszkiwali ongiś gromadę Wysoką Strzyżowską, pow. Rzeszów, pobudowali część domów jakby z boku, trochę za wsią, albo przed, zależy z której strony patrzeć. Od tych dalej położonych domów wiodą boczne drogi do głównej, wyjeżdżone wozami kilku pokoleń i wydeptane butami podobno jeszcze pańszczyźnianych chłopów. Lekkomyślni pradziadkowie, gdyby wiedzieli, jakie stąd wynikną w naszych czasach kłopoty, to albo by wieś zbudowali w kupie, albo by jej w ogóle nie zbudowali.

Oto przy jednej z takich dróg narodził się i wyrósł wnuk nazwiskiem Szala Franciszek, nie pomny na tradycje dziadów i pradziadów.

Co to znaczy gromadzka droga, kiedy koło mojego domu prowadzi. Moja jest i tyle — powiedział sobie Szala i do tej pory zdania nie zmienił.

Mój Boże! A życie chłopów, mieszkających w dalej położonych domach, zmieniło się w prawdziwe piekło! Dla każdego, kto odważyłby się przez drogę Szali przejść, mściwy Franciszek zgotował nielada przyjęcie. Ma ci on zmagazynowane za płotem tuż przy drodze kadzie i gnojówkę (na kobiety), kamienie (dzieci w wieku szkolnym, mniejsze też, po prostu na rękach) i koły (na chłopów w wieku męskim).

Jakby nie było — wielki śmiałek Urban Andrzej tak kołkiem po głowie oberwał, że padł nieprzytomny na ziemię. Zdaje się, że przy tej okazji pogniótł Szali dwa krzaki ziemniaczane, gdyż oprócz guza otrzymał jeszcze mandat karny do zapłacenia. Przechodziła odważna Terlachowa — także dostała za swoje. Najpierw poszła w ruch gnojówka, następnie — mandat karny w wysokości 60 zł wystawiony na zlecenie pana sędziego Cichockiego ze Strzyżowa, kolegę szkolnego Szali. A przede wszystkim człowieka ogromnie, jak widać — źle usposobionego do lekkomyślnych pradziadków.

Próbowała komisja gromadzka urzędowo potwierdzić prawo chłopów do korzystania z drogi. Pan sędzia jej orzeczenie unieważnił, gdyż członkowie komisji śpiewali przy pracy. Jest to ponoć najwymowniejszy dowód, że sobie podpili i dlatego o pradziadkach sobie przypomnieli.

Cóż można jeszcze dodać? Chyba tylko ostrzec naszego czytelnika, żeby, broń Boże, drogą pana Szali nie chodził, chyba, że ma twardą głowę, stępione powonienie i dużo pieniędzy.

Aha, przypomniało mi się! Jest co dodać! Pilnując tej drogi, zapomniał ob. Szala o innej. Żywca nie odstawia, z mlekiem zalega, a szarwarków nie odrabia już od dwóch lat, zszedł więc z drogi uczciwości, a został na wąskiej, tak bardzo wąskiej, że ani się spodzieje, jak wpadnie do rowu ku zadowoleniu żywych i nie żyjących od lat pradziadków.

BORZYWÓJ MLECZARZ

(Na podstawie listu Władysława Gierlacha, Wysoka, p-ta Strzyżówka, pow. i woj. Rzeszów).

„Stowarzyszenie zdziwionych"

W czynnościach służbowych sklepowego filii GS w Zaszczytowie, pow. Sulęcin, woj. Zielona Góra, nie dostrzeglibyście nic więcej prócz rzetelnej troski o należyte zaopatrzenie gromady.

— Wiaderka? A po co wiaderka? Wody do nich ze studni nabierz, do domu zanieś, na ławie postaw, gazetą przykryj, po kiego licha tyle roboty. Można się przecież od razu przy studni napić.

— Mydło? A no co, skoro można rżnąć dzieciom skórę, gdy się będą brudziły i do czystości nawykną. A starsi, świadomi przecież, nie zapaskudzą się tak szybko. Dajcie kilo, na mieście starczy.

Wódka! Co tak mało, a dyć w trzy wozy przyjechałem, coście z koni pospadali! Klienci czekają, dajta ze 200 litrów od razu, bo mnie w prasie oszwarcują, że o potrzeby nie dbam.

Takie to rozmowy wiedzie ob. Maćków w gminnym magazynie, a wódkę przywozi zawsze i trzeba wiedzieć, że klienci na niego nie narzekają. Ale nie wszyscy. Mówimy tu o członkach „Stowarzyszenia zdziwionych", ci bowiem najbardziej ze sklepowego niezadowoleni.

Według statutu każdy członek „Stowarzyszenia zdziwionych" ma prawo do pół litra wódki dziennie, pobicia własnej żony, jeżeli podniesie głos i do... dziwienia się. Zaraz wyjaśnimy, o co chodzi. Otóż ob. Maćków stosuje szeroko kredyt na wódkę. Inne artykuły z tego przywileju nie korzystają. Członkowie „stowarzyszenia" dziwią się, czemuż to nie ma „folgi" na podatki, dostawę żywca, zboża i mleka?

Ob. Maćków, który do tak wspaniałego rozkwitu doprowadził „stowarzyszenie", ma na względzie poważne cele wychowawcze. Obok sklepu stoi szkoła. Uczy się w niej niemało dzieci. To są przyszłe kadry dla „stowarzyszenia". Sklepowy doskonale wie, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Podgląda taki pętak jeden z drugim, jak w pokoiku za sklepem panowie ojcowie do siebie pogadują.

— Jakby to Maćków był przewodniczącym Prezydium GRN, to i podatek płaciłbyś — jak wódkę — kiedy chcesz.

— Jak mi stara słowo powie, zdzielę w kark, święte obrazy nie pomogą.

I uczy się młode pokolenie od rodziców. Ostatnio dzieci złożyły wyraźny dowód na to, że nauka nie idzie w las. Napisały mianowicie list otwarty do sklepowego i „Stowarzyszenia zdziwionych", w którym stawiają takie pytania:

1) Do czego służy woda? 2) Jakie jest przeznaczenie wiadra? 3) Jaka jest różnica między knajpą a GS?

Wyjaśniamy czytelnikowi, że poprawna odpowiedź powinna brzmieć następująco: Wiadro jest po to, aby nabierać nim wodę i lać na głowę sklepowego i członków „Stowarzyszenia zdziwionych" póki nie wytrzeźwieją. Jeżeli będą już odróżniali sklep GS od knajpy — to znak, że wytrzeźwieli.

JAN BIEGAŁA

Złota młodzież

Rzadko które gromady mogą się poszczycić tak pomysłową, pełną energii młodzieżą, jak Cienin Zaborny i Cienin Kościelny, pow. Konin. Co jaka ważniejsza uroczystość — już o niej głośno.

Ostatnio zabłysnęli młodzi z obu gromad w czasie występów ekip ruchu łączności z Poznania i pobliskiego miasteczka Słupcy. Program artystyczny ekip — jak to zwykle w takich wypadkach bywa — bardzo był obszerny. Ludzie wypełnili świetlicę w Cieninie Zabornym po brzegi i bynajmniej się nie nudzili. Musimy także dla sprawiedliwości dodać, że nasza dzielna młodzież zachowywała się cicho. Działo się tak po trosze dlatego, że jej w większości na występach nie było.

Ale nie należy z powodu nieobecności chłopaków i obu Cieninów na występach ekip — bić w dzwony na alarm. Czasu przecież nie marnowali. Wprost przeciwnie — przygotowywali się do własnych „numerów", którymi umyślili odwdzięczyć się młodym robotnikom z Poznania i Słupcy.

Ledwo tylko zabrzmiały dźwięki orkiestry na znak, że się zabawa rozpoczęła, pokazali, co potrafią.

Zasadniczo starannie przygotowany program składał się z występów w świetlicy i na wolnym powietrzu. Występy w świetlicy polegały na podstawianiu nóg, poszturchiwaniu łokciami, czy kopaniu w tańcu. Oczywiście te objawy wdzięczności skierowano pod adresem członków ekip. Dalej szły wymyślania, wreszcie — przewidziany był finał. Zręcznie na rzut flaszką i światło gaśnie. Następuje ogólne — jak mówią nasi bohaterowie — „mordobicie".

Poza pierwszym numerem — dalsze niestety, mimo przygotowań nie udały się. Udały się natomiast występy na wolnym powietrzu. Nasi aktorzy ukryci zręcznie za krzakami obrzucili z powodzeniem flaszkami samochody ekip. Bądź co bądź kilku poranionych było.

Wypada na zakończenie podać taki wniosek: nie cała, rzecz oczywista, młodzież z Cienina Zabornego i Kościelnego wykazuje tyle energii życiowej. Owszem, są tacy, co to ze starszymi występów ekipy wysłuchali, bili przykładnie brawa i niczym szczególnym na zabawie nie wyróżnili się. Ale młodzież da się przerobić. Bo nie brak wśród niej chłopców i dziewcząt surowo osądzających karygodne wybryki młodzieńców z obu Cieninów. Należy się dziwić, że organa M.O. tolerowały takie ich zachowanie się.

Zwracamy uwagę władzom ZMP na konieczność wzmożonej pracy wychowawczej wśród młodzieży Cienina Zabornego i Kościelnego.

JÓZEF KWAŚNY

(Na podstawie listu korespondenta ze Słupcy, pow. Konin, woj. Poznań).

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel. 8-00-81.
Adres redakcji: Warszawa, pl. Starynkiewicza nr 7.
Telefony: Red. Nacz. 863-86. Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4.60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
RSW „PRASA", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. 4-B-19109

Kronika kulturalna

Gazetki gromadzkie i błyskawice w okresie żniwnym rozpoczęły walkę o przodownictwo gromad. Przykładem dla wszystkich komitetów redakcyjnych jest zespół z Dalenewa, składający się z 3 osób. Koledzy Jadczak Kazimierz, i Macholta Kazimierz dokładają wiele starań, aby szatę graficzną i treść gazetek związać z aktualnym życiem wsi. Zespół radaguje aż dwie gazetki. Co dwa tygodnie wydaje gazetkę, której tytuł i tematykę dostosowuje do zbliżających się rocznic i ważnych wydarzeń politycznych. Druga gazetka nosi tytuł „Wieś" i traktuje o wydarzeniach w gromadzie. Są tam karykatury, satyry na kułaków, bumelantów, pijaków, chuliganów. Są sylwetki przodujących chłopów w akcji żniwnej; jest sylwetka delegata młodzieży na Festiwal.

Cieszymy się, koledzy z Dalenewa, z wyników Waszej pracy. Przysyłajcie Wasze artykuły, opowiadania satyryczno-krytyczne, karykatury. Piszcie o Waszej pracy i oddziaływaniu gazetki na chłopów.

Apel ten kierujemy do wszystkich zespołów redakcyjnych w Polsce.

*

Współdzielni „Chałupnik" przy Centrali Przemysłu Lekkiego i Artystycznego w Łżejsku jednym z najstarszych i najbardziej zasłużonych artystów w dziale tkactwa artystycznego jest Paweł Dudek. Wykształcił on już cały zastęp młodych artystów-mistrzów tkactwa. Pracują oni nie tylko we wzorcowniach woj. rzeszowskiego i krakowskiego, lecz również w Łodzi i Żyrardowie. Paweł Dudek pracuje w swoim zawodzie przeszło 50 lat. W swym warsztacie doświadczalnym opracował wiele wzorów i ciągle opracowuje nowe. Ponad 2 tysiące jego wzorów czeka na realizację. Zasługują one na to, by zainteresowały się nimi władze centralne. Dudek nie ma czasu wytkać swych wzorów na płótnie. Jest zajęty ciągle cennymi reprodukcjami historycznymi. Odwzorowuje on dla Ministerstwa Kultury i Sztuki stare makaty z muzeum łańcuckiego. (Nie podjął się tej pracy żaden z tkaczy-artystów, choć zwracano się do wielu najlepszych).

Paweł Dudek opiera się na postępowej, ludowej tradycji tkactwa chłopskiego rejonu rzeszowskiego. Chałupniczy dorobek tego artysty ludowego zjednywa sobie powszechne uznanie.

*

Ministerstwo Rolnictwa przy pomocy wojewódzkich i powiatowych zarządów ZSCh organizuje 40 rejonowych wystaw rolniczych na terenie całego kraju. Mają one zobrazować dorobek przodujących spółdzielni produkcyjnych, PGR i POM oraz osiągnięcia chłopów indywidualnych przodujących w produkcji i w wypełnianiu zobowiązań wobec państwa. Wystawy te mają za zadanie wzbudzić jeszcze szersze zainteresowanie wśród chłopów postępami techniki i produkcji rolnej, osiągnięciami wiedzy rolniczej oraz pokazać korzyści płynące z zespołowej gospodarki. Wystawy zostaną otwarte 20 sierpnia br. w miastach powiatowych. Działacze polityczni i świetlicowcy! Zadbajcie o to, żeby wystawy te zwiedzili wszyscy chłopi w powiecie. Inicjujcie na ich temat dyskusje i szkolenia w gromadach. W okresie powstawania na jesieni nowych spółdzielni produkcyjnych wystawy odegrają poważną rolę w agitacji i pracy masowo-politycznej.

*

Ostatnio Wydział Kultury WRN w Kielcach ogłosił konkurs dla artystów-plastyków z ziemi kieleckiej pt. „Wieś kielecka wczoraj i dziś". Prace konkursowe winny obrazować życie i pracę na wsi, typy, stroje ludowe, życie kulturalne wsi, wiejskie budownictwo, pejzaże itp. — z okresu kapitalizmu oraz przeobrażenia na wsi w Polsce Ludowej. Wzory oryginalnych strojów ludowych udostępniono artystom-plastykom w Muzeum Świętokrzyskim w Kielcach. Prace konkursowe przedstawiające stroje ludowe Kielecczyzny, powinny być wykonywane w taki sposób, by nadawały się do ewentualnej reprodukcji. Za najlepsze prace zostaną przyznane cenne nagrody.

W skład sądu konkursowego wejdą przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki, Wydział Kultury Prezydium WRN, KW PZPR oraz ORZZ. Wśród uczestników tego pożytecznego konkursu nie powinno zabraknąć ani jednego zespołu ludowego, ani jednej świetlicy z ziemi kieleckiej.

*

Radiowęzeł w Myśliborzu (wojew. Szczecin) nie spełnia roli masowego agitatora i wychowawcy chłopów. Nie posiada on własnych korespondentów, którzy informowaliby radiowęzeł o wydarzeniach na swoim terenie i słabo uwzględnia w swych programach specyfikę własnego terenu. Jego krótkie 10-minutowe audycje lokalne — to artykuliki informacyjno-sprawozdawcze napuszone górnolotnymi frazesami.

Komitet redakcyjny radiowęzła powinien popularyzować osiągnięcia przodujących spółdzielni, PGR, pokazywać przodowników w akcji żniwnej, piętnować opieszałych. Nie widzimy tego w audycjach raciborskiego radiowęzła.

Koledzy z komitetu redakcyjnego radiowęzła w Raciborzu! Mniej biurokratyzmu! — Idźcie w teren. W PGR Golczewo w Waszym powiecie czujni traktorzyści udaremnili próbę sabotażu wroga. Porozmawiajcie z kombajnistą Krawiczem z Przekolna! Opowiedzcie swym słuchaczom, jaką drogą doszedł on do swoich sukcesów? Wtedy spełnicie swoje zadanie.

*

Dobrze rozwija się czytelnictwo w powiecie łańcuckim wojew. Rzeszów. Do IV etapu konkursu czytelniczego w gromadzie Szarzyna zgłosiło się 204 uczestników, w tym wiele kobiet.

Wiejski Dom Kultury w Wietlinie ma już ponad 100 uczestników. Na naradzie aktywu kulturalno-oświatowego w WDK w Twierdzy zaplanowano zwerbowanie ponad 1000 uczestników. Większość z nich już się zgłosiła, w tym wielu byłych analfabetów.

Szczególnym zainteresowaniem wśród uczestników konkursu cieszy się radziecka i polska powieść współczesna oraz książki rolnicze.

*

Państwowe Teatry Dramatyczne w Szczecinie podjęły szeroką akcję objazdową po terenie całego województwa. W roku ubiegłym dały one 150 przedstawień w terenie, które oglądało około 70 tysiecy widzów. Akcją objazdową kierował „Artos", słabo uwzględniając wyjazdy na wieś.

W roku bieżącym akcję objazdowa podjęły teatry na własną rękę.

Z zainteresowaniem oglądali występy zawodowego teatru chłopi ze spółdzielni produkcyjnej z Trzebieży, Brudzewic, Góralic. W Policach nie tylko zapewniono zespołowi teatralnemu transport po występie, lecz i urządzono mu serdeczne przyjęcie. Entuzjastyczne brawa nagrodziły aktorów grających „Sprawę rodzinną" Lutowskiego.

Cenna inicjatywa szczecińskich teatrów dramatycznych niech będzie wzorem dla teatrów z innych województw. Wieś czeka na nowe, upolitycznione sztuki.

Sew.